N. 5. WARSZAWA d. 22 Stycznia (3 Lutego) 1872 ROKU.

TYGODNIK MOD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Muzyka.—O książkach dla dzieci.—Korespondencja z Wiednia.—Obrazy na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie.—O ubiorach.— Wielki Nieznajomy obrazy naszych czasów przez J. I. Kraszewskiego, w dwóch tomach. — Dombey i Syn powieść w dwóch tomach Karola Dickensa. — Pogadanki Naukowe. — Przytem dodatek z drzeworytami.

Muzyka.

Pięknо w sztuce to tęsknota
Do dawnego gdzieś żywota,
Nim stworzony
Niewcielony
Duch nasz w Bogu żył.

Więc też ciągle w niebo wyżéj
My się rwiemy, i czem bliżéj
Widne nieba,
Tem nam trzeba
Większych w locie sił.

Czy z marmurów stopnie ściele
Duch w rzeźbiarstwa arcydziele,
Czy słów dźwiękiem
Zgodnym miękim
Swój podnieca lot,

Zawsze, zawsze ma to w sobie.
Że mu tęskno, że w żałobie
Każda chwila
Się przesila
W krwawy życia pot.

Bo choć wzniesie się tęsknicą,
Choć to niebo przed źrenicą
W swym ogromie
Już widomie
Świeci w złudy dzień,

Za powiewem lada tchnienia,
Znika urok przywidzenia,
I znów blada
W zmrok zapada
Tęcza rannych śnień.

Gdy w niemocy duch boleje,
Wola stygnie i myśl mdleje,
Jedno serce
Grom w iskierce
Ciska w niebo ton,

Nieujęty ciał objawem,
Niezwiązany myśli prawem,
Niż myśl bielszy,
Niż myśl śmielszy
Wraca do swych stron.

Ton, melodja, pieśń, uczucie,
W jednym silnym serca rzucie,
Więcéj powie
Niźli w słowie
Zawrzeć może duch.

Wszak gdy całkiem człek zbolały,
Lub z wesela oniemiały,
To czy jękiem,
Czy też dźwiękiem
Zdradza myśli ruch.

Więc melodja w swéj czystości,
To odwieczny jęk ludzkości,
Wieczna skarga
Co się targa
Aż do Boga stóp.

To najprostszy głos duchowy,
Głos najmilszy dla Jehowy,
Nieskalany,
Z serca dany
Pełnych kłosów snop.

Ton co uczuć jest nadmiarem,
Najwznioślejszym będzie darem,
Bo choć było
Słowo—siłą,
Miłością jest Bóg.

My dziś Tobie pieśnią dźwięczym,
My melodją w niebo jęczym,
Bo przebrzmiały
Słowa chwały
Wieszczéj myśli sług.

Myśmy żyli pieśnią słowa,
Choć władała sercem mowa,
Lecz nie wszyscy
Myślom bliscy,
A ton pojmie gmin.

Ale tylko niech w tym tonie
Całe serce szczerze płonie,
To obudzi
Wolę ludzi
Wola wygra czyn.

Jerzy Laskarys.

O książkach dla dzieci.

Zbiegiem częstokroć nie od nas zależnych okoliczności, dla braku wyłącznie pedagogicznéj publikacyi, jedna z ważniejszych części krajowego piśmiennictwa, to jest książki dla dzieci bez żadnéj znajdują się kontroli, bez krytyki. Kiedy najlichsze powiastki, służące do podrażnienia ciekawości znudzonego czytelnika, po kilka na raz wywołują recenzyi, o książkach dla dzieci, stokroć ważniejszych od pierwszych, nikt bezstronnie wspomnieć nie raczy, tylko w *doniesieniach księgarskich* sami wydawcy pochwalonym chórem swoje publikacje polecają światu. To też kupujący książki dla swoich lub obcych dzieci, nie mając żadnéj przewodniéj skazówki, w dziwném znajduje się położeniu, bo słuchając zachwaleń owych *anonsów*, albo idąc za poradą przedającego książki

najfatalniejszego doznaje zawodu, otrzymuje nie to, czego pragnie, ale czego księgarz radby się jak najprędzéj pozbyć ze swojego handlu. Jeśli znów da się złudzić jaskrawo malowanym obrazkom, pięknéj oprawie lub wiele obiecującym tytułom, wyjdzie jeszcze gorzéj, i straci bez żadnego pożytku kilkanaście złotych; książki dla dzieci nie są u nas tanie, a obrazki są najczęściéj bez żadnéj artystycznéj wartości, oprawa dziecinnych książek bynajmniéj nie odznacza się trwałością, co zaś do tytułu, jak wszystkie tytuły, pokrywa on zwykle nicość wewnętrzną.

Nadto, niejeden z kupujących, wierzący i bardzo słusznie w postęp, chciałby nabyć książek nowszych, poprawniejszych, odpowiedniejszych duchowi czasu, a tu roku wydania często na książce doszukać się nie może, bo chwalebnym zwyczajem, naturalnie zagranicznym na nutach i książkach dla dzieci rok wydania zwykle się opuszcza, aby nieświadomy rzeczy myślał, że nabywa najświeższe produkcye. Co do nut, mniejsza, chociaż ta mądrość spekulacyjna, zakrawająca trochę na podstęp, co najmniéj, śmieszna, ale książki dla dzieci powinny rokiem wydania być opatrzone. Nie ma potrzeby lękać się, aby postarzały, bo jeśli mają istotną wartość, to takowa pewno się nie zmniejszy, owszem *w niektórych rączach* przekładane bywają dawniejsze edycye. Czy dzieła *Hofmanowéj* lub bajki i przypowiastki *Jachowicza* nie zawsze są pożądanemi i nowemi? A *Kampego* Robinson Kruzoe nie służył z pożytkiem tylu generacjom i dotąd nie służy? Ale choćby dla saméj poprawniejszéj ortografii każdy pragnie mieć nowsze wydanie. I słusznie bardzo, gdyż w nowéj edycyi autor lub tłomacz poprawia błędy, które się wcisnęły do poprzedzającéj. Czy tak się dzieje, wiadomo wszystkim.

Byłyby to podrzędne okoliczności i mało znaczące błędy, nie pojmujących swojego interesu księgarzy—nakładców, gdyby czytająca publiczność miała sobie podawaną przez pisma peryodyczne dokładną wiadomość o treści, zaletach lub ujemnéj stronie téj lub owéj książki dla dzieci, i nie potrzebowałaby błąkać się jak w lesie wśród licznych katalogowych ogłoszeń podających często jako *nowość* stare ramoty nieodznaczające się ani treścią, ani formą, ani starannem wydaniem.

Jeśli brak sumiennéj i jawnéj krytyki szkodliwym jest dla literatury w ogólności, to tém szkodliwszy dla książek poświęconych młodemu wiekowi.

Lekceważenie tych drobnych książeczek dla dzieci cierpkie wydaje owoce.

Wiadomo każdemu, że wrażenia dziecinnego wieku są najsilniejsze, to też owe książeczki są często jednym z czynników, urabiających charakter, moralność, niekiedy życie całe niejednego człowieka.

Jeśli nas rażą w dzisiejszéj młodzieży pewne niezbyt pocieszające symptomata, nie dziwmy się temu, lecz raczéj przypomnijmy sobie starą bajeczkę, w któréj jabłoń goniącemu ją ogrodnikowi wypowiada słowa prawdy, że takie rodzi owoce, jakie on zaszczepił.

Nie weźmie nikt słów naszych za przesadę, gdy powiemy, że cała przyszłość młodego pokolenia zawisła po największéj części od tych tak mało cenionych książeczek, które dzieciom podajemy w ręce.

Pedagogiczne znaczenie tych drukowanych stronic, które Józio lub Kazio, Mania lub Zosia z takiem zajęciem czytają, albo raczéj bawią się niemi, i zniszczywszy w kąt rzucają, wielkiéj są doniosłości, któréj dziwnem zrządzeniem losu dotąd nie dostrzegli ciężko uczeni przewodnicy młodości naszéj. Spodziewamy się więc, że zastanawiające się i myślące czytelniczki nasze nudzić się nie będą, jeśli nieco obszerniéj pomówimy o tego rodzaju książeczkach, zwłaszcza, że one nie pod jednym względem obchodzić je powinny.

Nie mamy tu na myśli książek służących do nauki bo te innym warunkom, innym wymaganiom podlegają, stanowią zupełnie inny przedmiot, którego na ten raz nie dotykamy, chcemy raczéj parę słów powiedzieć o książkach, które tamtym tak skutecznie idą w pomoc, o książkach dla dzieci do czytania, do zabawy łączącéj przyjemność z pożytkiem.

Przedmiot do takich książek brany, o ile możności, z otaczającego dzieci świata, nigdy nie powinien przekraczać sfery ich pojęć, przypuszczając naturalnie, że takowe już do pewnego stopnia rozwinięte zostały. Gdy nie znają własnéj okolicy, własnego kraju, włóczyć po lądach i morzach, o których potem się dowiedzieć mają. jest po prostu niedorzecznością.

Forma powiastek, rozmów, opisów itp, powinna być łatwą, przystępną i odznaczać się szczególniejszą poprawnością wyrazów i wyrażeń. Styl wymuszony niedołężne powiązanie zdań w okresy, wyrazy niewłaściwe, zwroty cudzoziemskie, ortografia pełna błędów, więcéj szkody, niż pożytku przynoszą.

Celem książek dla dzieci powinno być *rozwijanie władz umysłowych i kształcenie serca.* Jeśli książka nie ma tego na celu, nic nie warta; lepiéj, żeby dziecko nic nie czytało, a raczéj rozpatrywało się w życiu, niżeli czas daremnie trawiło nad drukowanemi bredniami. Nie jesteśmy zwolennikami tendencyjności w utworach literackich, ale jéj konieczenie wymagamy od książek przeznaczonych dla małych dzieci.

Prawda i zawsze prawda bądź fizyczna, bądź moralna, bez żadnych przymieszek i sfałszowań, tak samo, jak dla dorosłych ludzi, tak i dla dzieci, stanowić powinna treść książki! cała różnica polega tu jedynie na sposobie jéj zastosowania i uwydatnienia. Alegorye, przesadne bajki, np. z Tysiąca Nocy, choćby nawet po długich wywodach dała się z nich wycisnąć jaka kropla nauki moralnéj, są tu nie na swojem miejscu. Cudowne legendy, pełne niedorzeczności podania, wszystkie różnéj nazwy bajki, należałoby raz wyrzucić z biblioteki dziecinnéj. Hyperbole, parobole i wszelkiego rodzaju przenośnie dobre są dla młodzieży, dla osób starszych umiejących odróżnić jądro od łupiny; dzieciom fałszują wyobrażenia, drażnią niepotrzebnie wyobraźnią i nie pozwalają im trzeźwo spoglądać na świat rzeczywisty.

Zwolennicy cudowności, bajek i nibyto poetycznych wierszy nie zgodzą się zapewne z nami, że wszelką fantastyczność wyrzucamy z książek dla dzieci. Usprawiedliwiamy się. Cudowność i bajki, jako na złudzeniu, na kłamstwie pobożnem oparte, torują drogę do przesądów, przyzwyczajają dzieci do marzenia, gdy myśleć nie umieją, i obojętnemi czynią na rzeczywistość; wierszyki nie są tyle szkodliwe, owszem pożyteczne, jako środek mnemoniczny, ale pod warunkiem, aby w nich był *sens*, i odznaczały się udatnością i poprawnością formy. Piękno, które twórcza fantazya poety wywołuje do życia, strojne w tysiące uroków, sprofanuje dziecko, nie pojmie go, a tylko rozkołysze wrażliwą swoją wyobraźnię. Poezya,(ale nie rymowane kazania lub waryackie mrzonki) z młodzieńca uczyni bohatera; nie pozna się na niéj i nie uzna jéj potęgi płochy wiek dziecinny... i zgrzybiała starość.

Jeśli z książek dla dzieci radzibyśmy usunąć poezyą, to nie idzie za tem, abyśmy wyłączali środki, któremi się ona posługuje. Owszem, za warunek *sine qua non* wszelkiego utworu przeznaczonego dla dzieci, uważamy obrazowość i to obrazowość istotną, któraby najoderwańsze pojęcia zmysłowo przedstawiała dzieciom i najpospolitszy przedmiot ożywiła, upiększyła, nie przekraczając wszakże granic prawdopodobieństwa, a ku czemu właśnie nasz język tak wybornie się podaje. Tym sposobem bez niebezpieczeństwa działając na wyobraźnią dziecka, działa się na jego serce. Tu nie suche moralizowanie, teorya, ogólniki, ale życie, przykład i zastosowanie odwiecznych prawd miejsce mieć powinny. Inaczéj będąto nudne gadaniny, których pomimo malowanych obrazków, dzieci czytać nie będą, a jeśli z rozkazu starszych przeczytają, rychło o nich zapomną i żadnéj korzyści ani moralnéj, ani umysłowéj nie odniosą.

Pisząc książki dla dzieci należy zachować pewne stopniowanie. tak pod względem treści, jak i formy. Inaczéj się pisze dla siedmioletniego, a inaczéj dla jednastoletniego wieku, a jeszcze inaczéj dla starszych, chociaż bylibyśmy zdania, że dla tych ostatnich nie trzeba książek oddzielnych, gdyż można im dać do ręki te same, które są dla dorosłych, tylko zawsze ktoś znający się na rzeczy powinienby wybór uczynić, któryby odpowiadał ich usposobienie moralnemu i uzdolnieniu umysłowemu. Doświadczenie pedagogiczne nas uczy, że wyrostki unikają książek pisanych dla dzieci lub *młodocianego wieku*, a chociaż z tych książek i starzy niejednego nauczyć się mogą, oni przecież z niechęcią do nich się biorą, albo nie biorą wcale, przekładając kryjome czytanie najnędzniejszych romansów. Dla młodzieży i dla ludu piszmy tak, jak się piszę dla dorosłych ludzi, którzy o własnéj sile pragną się kształcić, unikając ckliwych pieszczot lub podrzyzniań w mowie, które bynajmniéj do czytania nie zachęcają. Tu mają zastosowanie wszelkie popularne wykłady, które każdy weźmie do ręki, skoro odpowiadają jego uzdolnieniu umysłowemu, a formą swoją przypadają mu do smaku. Nie potrzeba tu wywieszać szyldu: dla młodzieży, dla młodocianego wieku, dla kobiet, dla rzemieślników i t. p. Prawda dla wszystkich jedna, powtarzamy, idzie tylko o to, aby ją tak uwydatnić, aby ją sobie mógł przyswoić każdy bez względu na wiek płeć lub powołanie. Autor powinien tylko pamiętać, że może mieć czytelników mniéj lub więcéj uzdolnionych, z więcéj lub mniéj rozwiniętemi władzami umysłowemi.

Wracamy do książek wyłącznie dla małych dzieci. Nie łatwa-to rzecz pisać książki dla nich, bo oprócz wszechstronnego naukowego wykształcenia, oprócz niezaprzeczonych zdolności pisarskich, trzeba mieć szczególniejszy dar pozyskania serca i zajęcia głowy tych przyszłych ludzi.

Zauważano powszechnie, że kobiety — autorki daleko lepiéj i trafniéj w swoich dziełach przemawiać umieją do dzieci, niżeli mężczyzni,którzy pomimowolnie zawsze się dopuszczają jakiéjś niewłaściwości: styl ich zwykle ciężki, wymuszony, zanadto uczony odstrasza swoim pedantyzmem figlarne główki; najgórniejsze ustępy obijają się o nie, jak groch o ścianę, a niezgrabne przymilenia głośny śmiech budzą. Za to lekkie, serdeczne, ale powierzchowne, zbyt dziecinne myśli, wychodzące z pod pióra kobiecego nie pociągają starszych chłopców; powaga naukowa autorki nie dość imponuje takiemu trzecio-klasiście, a w takiém usposobieniu czytelnika książka niewiele przynosi pożytku.

Są to wszystko uprzedzenia, nie przeczę, bo kobiety jako autorki i uczone tak wysoko dziś zajęły stanowisko, że tu wzgląd na płeć jest rzeczą śmieszną, z dziećmi jednak i wyrostkami rachować się trzeba jeśli chcemy, aby usiłowania nasze nie były daremne.

Dobrą książkę napisać dla dzieci trudniéj, jak dla dojrzałych umysłowo. Tymczasem, jakby na przekór, występują z autorstwem tego rodzaju jakieś anonymy, ludzie nie tylko bez zdolności pisarskich,

ale niestety! bez elementarnych wiadomości naukowych. — Wszak to się pisze dla dzieci — mówi sobie niejeden lub niejedna. Więc można bąka strzelić w historji, pokłócić się z gramatyką i palnąć jaką niedorzeczność, na której się nawet dzieci poznają?

Zkąd takie opaczne myśli, wytłomaczyć nie umiemy, to wszakże pewna, że nakładcom z tém wygodnie, bo tacy autorowie lub autorki, szczęśliwi, że *będą drukowani*, niebardzo są wymagający, a bądź co bądź, książek dla dzieci zawsze potrzeba. Z ludźmi zdolnemi, pewne doświadczenie pedagogiczne mającemi, byłaby trudniejsza sprawa.... a dziś o kosztownych nakładach, przy takiéj stagnacyi handlu księgarskiego ani pomyśleć, a przecież trzeba *coś* robić, aby *handel szedł*, tylko o ile możności przy najmniejszem rezykowaniu kapitału. Jak na téj spekulacyi dziatwa nasza wychodzi, łatwo odgadnąć

Jeśli nam brak ludzi umiejących pisać nawet dla dzieci (co dzięki Bogu tak nie jest); jeśli nie możemy mieć dzieł oryginalnych, w którychby bez uprzedzeń tendencyjnych dla téj lub innéj konfesyi, dla téj lub owéj warstwy społecznéj, dzieci nasze nie mogły poznawać w przystępnéj a wdzięcznéj formie odwiecznych praw światem rządzących: to otworem nam stoją literatury obce, które pod tym względem tak bogate posiadają skarby, że przy dobréj woli i dla nas wybrałoby się coś odpowiedniego.

Zachodzą tu tylko dwie drobne okoliczności: trzeba umieć wybrać, i wybraną książkę dobrze przełożyć. Co do pierwszego wypada znać, wypada zapoznać się bliżéj z temi obcemi literaturami, a co do drugiego, bez gruntownéj znajomości swojego języka obejść się nie można.

Czy nakładcy swoim wyborem, a tłomacze swoim przekładem zadosyć czynią tym dwóm warunkom, wolno powątpiewać, zwłaszcza, że wszystko, co wyszło na świat w ostatnich latach dla dzieci, z małym wyjątkiem nikogo zadowolić nie może. Przy rozbiorze kilku nowych publikacyi postaramy się to udowodnić.

Że nam nie zbywało i nie zbywa na ludziach z talentem, którzy umieją pisać dla dzieci i młodzieży, to dosyć wymienić z Tańskich Hoffmanową, któréj dzieła dziś jeszcze pewną wartość mają, dość zacytować Jachowicza nieporównane bajeczki, przypowieści, którym późniejsi naśladowcy dotąd nie dorównali. A z żyjących autorów i autorek? Tu zastęp piszących dla dzieci bardzo znaczny, a w nim niejedno imię zasłużonego nabyło rozgłosu, tak oryginalnemi pracami, tak przekładami, naśladowaniami i przerobieniami.

Czem się to jednak dzieje, że dobra książka dla dzieci jest prawdziwą rzadkością? Czy obojętność publiki? Nie, gdyż tak samo jak kalendarze, książki dla dzieci znaczny odbyt znajdują. Nie muszą jednak książki dziecinne w dostatecznéj liczbie egzemplarzy się rozchodzić, kiedy tylko w braku czego lepszego zajmują się niemi nakłady, i to, o ile możności, najtańszym kosztem, nie dbając nawet o staranne, bez błędów ortograficznych wydanie.

Że innego rodzaju dzieła nie ukazują się w handlu księgarskim w oddzielnych książkach, to ma pewne usprawiedliwienie w rozwielmożnionych pismach peryodycznych, które absorbują prawie całą naszą literaturę, ale o wydawnictwie dla dzieci powiedzieć tego nie można, boć *Przyjaciel Dzieci* nie staje mu na zawadzie, owszem szerząc zamiłowanie czytania, tém potrzebniejszemi czyni książki tego rodzaju.

Na zakończenie uwag naszych o książkach dla dzieci, dodamy słówko o ich illustracyach, których pedagogiczne znaczenie oddawna i powszechnie uznane zostało. Otóż te illustracye zwykle chybiają swojego celu. Dajemy obrazki do powiastek nie tylko dla tego, aby dziecko łatwiéj zatrzymywało w pamięci przeczytane myśli, lecz także, aby kształciło swój gust i przyzwyczajało oczy do symetryi i piękności kształtów. Tymczasem takie illustracye, jakie znajdują się w niektórych książkach nie tylko pierwszego celu nie dopinają, ale swoją potwornością tłumią i paczą wrodzone dziecku poczucie piękna.

J. Pracki.

Korespondencja z Wiednia.

(Karnawał—Przepych i nędza—Koncerta Wieniawskiego i Rubinsteina—„Chrystus" Liszta—Nowości repertoarów Wiedeńskich—Wystawa przemysłowa w nowem muzeum—Nowe książki—Bibljoteki pięciocentowe—Kobiety p. Juliusza Pederzani—O rodowodzie Vitelliona Ciołka—Urodziny Bauernfelda.)

Karnawał tegoroczny w niczem nie różni się od swoich poprzedników. Każda warstwa ludności. każdy stan, każda społeczność urządza osobne dla siebie zabawy i jedna sadzi się nad drugą, aby na chwilę zalśnić blaskiem, czasami pożyczonym i zabawić się wesoło. Zacząwszy od gospody na najodleglejszem przedmieściu, aż do pysznych sal w gmachu Towarzystwa muzycznego i burgu, wszelkie miejscowości w których tylko bale mogą się odbywać, są już oddana zamówione na cały karnawał i co noc nieposполicie się ożywiają. A tak Wiedeń żyje sobie wesoło, jak każde wielkie miasto. Patrząc na ten przepych, na ten blask i zbytek, nie jeden może się nawet nie domyśla, jaka tu nędza po odleglejszych panuje przedmieściach. Rada miejska wyznaczyła niedawno komisyę dla sprawdzenia, czy jest istotnie prawdą, co pod tym względem opowiadają, a komisya przekonała się naocznie, że w tym pięknym, bogatym i tak rozkosznym Wiedniu więcéj jest nędzy w rzeczywistości, niż w fantazyi wszystkich autorów tak zwanych powieści socyalnych. Dla braku pomieszkań ileż to rodzin mieści się w wilgotnych suterenach lub po zimnych poddaszach! Niestety i te pomieszkania są stosunkowo bardzo drogie, dla tego lokatorowie odnajmują zazwyczaj wszystkie kąty, jeszcze większym biedakom. Tak w jednéj izdebce mieści się często ośm do dziesięciu osób, a nieraz w jednym kącie jest urządzona stajenka dla kozy, owcy lub prosięcia. Stół i stołek stanowią pospolicie całe tych pomieszkań umeblowanie.

Lokatorowie śpią na siennikach, po kilkoro razem przykryci tylko odzieżą. Komisja znalazła między innemi szmuklerza, który wraz z liczną rodziną utrzymuje się z wiązania frenzli dla tapicerów. Cała rodzina we dnie i w nocy nad tem pracuje, nawet dwoje dzieci z domu podrzutków wziętych na wychowanie, jedno sześcio drugie siedmio letnie.

Wszyscy zwłaszcza sieroty bardzo źle wyglądali. Pokazało się że od dłuższego już czasu robili frenzle, farbowane środkami zawierającemi truciznę. Większa część dzieci z domu podrzutków dostaje się na wychowanie do najbiedniejszych rzemieślników, lub do osób, żadnego stałego zatrudnienia nie mających, każde więc z tych nieszczęśliwych wystawione jest na największą nędzę, można powiedzieć na powolne konanie. W innem miejscu komisja znalazła sieroty wyschnięte jak szkielety. Kobieta je wychowująca, już kilkakrotnie za pospolite zbrodnie karana, nie dostała ich bezpośrednio z zakładu, lecz z drugiéj ręki, od innéj osoby, która bierze zwykle po kilkoro dzieci i potem je rozdaje, zarabiając tym sposobem po parę guldenów na każdem dziecku. Dzieci doznają wszędzie jak najgorszego obchodzenia.

Lecz cóż na to poradzić? Sierotom podobno nigdy i nigdzie dobrze nie było i zapewne nie będzie, a w każdem wielkiem mieście przepych i zbytek mięsza się z nędzą. Żeby je jakoś zrównoważyć, żeby dać to co nędzy niedostaje, a ująć bogactwu co zbytek stanowi, jest to jak mi się zdaje zadanie, szukające obecnie rozwiązania. Nie idzie tu o proste danie z ręki do ręki, bo podobna szczodrobliwość złemu nie zaradza, czy wychodzi z ofiar dobrowolnych czy z praw postanowionych, ale idzie o uregulowanie tak stosunków pojęć i zasad, żeby nędza była niemożebną, a zbytek niepodobny do rozwielmożnienia.

Cud ten sprowadzić tylko może oświata wszczepiona w ludzkość, jak latorośl szlachetna w pień dzikiego drzewa. Rzeczywistéj brak wszędzie czy w lepiance lub na poddaszu czy też w wykwintnym salonie, śniącym się przepychem i bogactwem. Między biedotą ciemnica najzupełniejsza w zamożności pozór świecący ułudą.

Tam nic nie wiedzą, tu znów nic dobrze nie znają i z tego jedne wypływają następstwa błędność postępowania i fałszywe pojęcia praw i obowiązków. W tak nieharmonijnem układzie społecznym, ferment ciągły, a gdy zbyt wiele gazów zgromadzi się, następuje zwykle wybuch, który choć budynku społecznego nie niszczy, ale mu wiele narobi szkody. Nad usunięciem przyczyn sprowadzających podobnie smutne katastrofy, w kopalniach nauka starannie pracuje, dla usystematyzowania też stosunków społecznych pomoc jest konieczną i tylko w rozszerzeniu jéj jak największem, może nastąpić rozwiązanie téj palącéj kwestji, zobopólnem obu stron zadowoleniem. Usiłowań w tym kierunku nie brakuje, ale pono one wszędzie w zbyt szczupłych zamykają się kółeczkach, na czem wszyscy tracą a nikt nie zyskuje.

W ciemności i w pozorze światła trudno dobrze rozpatrzyć się, zwłaszcza gdy cały Wiedeń brzmi czarującemi dźwiękami muzyki, i to nietylko balowéj. Najpierwsi koncerciści europejscy Wieniawski i Rubinstejn rywalizują ze sobą o palmę pierwszeństwa. Pan Józef Wieniawski dał trzy koncerta, w znaczniejszych odstępach spowodowanych wycieczkami do Lwowa i Krakowa.

Niepierwsze to jego wystąpienie w Wiedniu, tym razem równie jak dawniéj, powiodło się w całem tego słowa znaczeniu. Wogóle widać, że pomiędzy p. Wieniawskim a Chopinem istnieje pewne pokrewieństwo duchowe, inaczéj bowiem nie mógłby odtwarzać dzieł jego z takim wdziękiem i z taką dokładnością, ale też im bardziéj przejmuje się duchem Chopina, o ileż trudniéj jest mu zapewne oddawać Beethovena i Mendelsshona z taką samą precyzją.

O panu Rubinsteinie co się tyczy potęgi w wykonaniu, prawie toż samo powiedzieć by można, co o Wieniawskim. Występował on tym razem nietylko z własnym koncertem, lecz oraz dyrygował wykonaniem pierwszéj części wielkiego oratoryum Liszta pod tytułem „Chrystus" które bezsprzecznie zajmie najpierwsze miejsce w rzędzie nowoczesnych utworów tego działu muzyki. Pierwsza część w mowie będącego oratoryum odnosi się do urodzenia Zbawiciela, druga zaś ma się odnosić do jego nauki, podczas gdy przedmiotem trzeciéj będzie jego męka i śmierć. Szkoda że oratoryum tego, z powodu jego olbrzymich rozmiarów, nigdy nie będzie można słyszeć od razu w całości.

W teatrach tutejszych pojawiło się kilka nowości, ale lichych o których niewarto nawet wspominać. Pomiędzy temi nowościami więcéj prawdziwym już dramatem jest *Madelaine Morel* Mosenthala, grany tu z wielkiem powodzeniem, acz niestety nie do samego końca. Treść jéj, bardzo bogata w szczegóły jest taka.

W zamku St. Gervais na lat czternaście przed tem, co się dzieje w pierwszym akcie, był rządcą dóbr Morel, człowiek bardzo sumienny, stary, już od

kilkudziesięciu lat w usługach téj saméj rodziny margrabiów St. Gervais zostający.

Po wieloletniéj nieskazitelnéj służbie w rachunkach jego ni ztąd ni z owąd znalazła się gruba różnica, w skutku czego odpędzono go jako defraudanta, a fakt cały ogłoszono w dziennikach. Morel wprawdzie nie popełnił sprzeniewierzenia, lecz sam się obwinia o niedbalstwo i z tego względu swoje oddalenie ze służby uważa za sprawiedliwą karę.

Nie uniewinnia się więc, nie błaga o litość, lecz idzie z córką Magdaleną do Paryża, aby tam szukać innego miejsca. Że jednak defraudacja jego, w skutek ogłoszenia jéj w gazetach stała się powszechnie wiadomą, odpychają go wszędzie. Zmienia więc nazwisko, ale i to nie skutkuje. Ze zgryzoty zapada w chorobę i umiera w szpitalu Św. Rocha. Córka jego Magdalena, wychowana w największym niedostatku idzie po śmierci ojca do służby, ale i tem nie poprawiła sobie losu. Jéj pan, gburowaty rzemieślnik, wróciwszy raz pijany do domu, zwrócił na nią pożądliwe oczy. Magdalena opuszcza dom swego pana i porwana rozpaczą biegnie ku Sekwanie aby w nią wskoczyć. Wstrzymano ją jednak. Gdy się przebudziła z omdlenia, ujrzała się na moście a w około siebie tłum ciekawych.

(d. c. n.)

OBRAZY
NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA ZACHĘTY
SZTUK PIĘKNYCH W WARSZAWIE

(Dokończenie).

Pana Ruśkiewicza krajobraz: Pod lasem, posiada wszystkie zalety właściwe temu sumiennemu i pracowitemu artyście. Widziémy w nim z jednéj strony publicznéj drogi, kletkę z pracownią kowala czy też kołodzieja, czego się po kołach rozrzuconych tu i owdzie domyślać należy. Przed nią stoją, dwie wieśniacze postacie, a bliżéj widza na przewróconéj kłodzie drzewa siedzi wieśniak, rozmawiający z jakimś wędrownym Izraelitą. Po drugiéj stronie drogi ciągną się budynki rolników niedawno wzniesionéj kolonji, za niemi widać ścianę lasu, a w głębi rozciąga się daleki widok z dobrém zachowaniem perspektywy oddalenia, w jakim wszystko przedstawia się w niewyraźnych kształtach. Płotek, ogród ogradzający, tu nachylony w tę stronę, tam w przeciwną, miejscami uszkodzony: krzaczyny. chwasty, bróg na uboczu stojący, snopki zboża do ułożenia sterty przygotowane, wszystko to oddane z wielką prostotą, i naturalnością, widocznie nie z fantazji ale z rzeczywistości odwzorowane. W kolorycie może cokolwiek za wiele świeżości, całość jednak bardzo się ładnie przedstawia. Gdyby artysta przed budynkami choć kilka umieścił postaci zajętych pracą a na drodze gronko bawiących się w piasku dzieci, uciekających na złamanie karku przed nadjeżdżającą furą frachtową, cały krajobraz zyskałby wiele na tem ożywieniu. Pustka każda może być malowniczą, ale nuży prędko i mniéj zajmuje. Ten sam zarzut musimy zrobić i p. Niemirowskiemu za jego obraz przedstawiający: Skały gór Sajańskich. Perspektywa w nich dobrze zachowana, lekka mgła rozciągająca się w oddaleniu niby zasłona gazowa także z wielką ułudą przedstawiona, ale na pierwszym planie pomieszczone drzewo za ciężkie i za sztywne jakby dekoracyjne, a omszałość skał, ich zagięcia, popękanie także cokolwiek teatr przypominają. W pośród téj dzikiéj natury żadnego żyjącego nie widać stworzenia. Wprawdzie przestrzeń pomiędzy stromemi skałami, ma wszystkie cechy niedostępnéj do siebie przepaści, ależ orzeł lub zwierz dziki lubi takie skalne pustynie, niechżeby więc pierwszy ważył się w wyżynie, a drugi chlipał wodę w strumieniu. Pana Niemirowskiego zupełnie nie znamy, jeżeli więc jestto młody artysta wróżymy mu piękną przyszłość, któréj widok skał Sajańskich pewną jest zapowiedzią.

Za to p. Sypniewski niezmiernie wiele życia wlał w swoją pracę przedstawiającą: Pogoń za zwierzem. Przez most dość wysoki, pędzi konno pięciu myśliwych przybranych w kontusze, konfederatki z czaplemi piórami i w rogi myśliwskie. Przed niemi kłusuje pieszo dwóch dworzan ze sworami psów gończych, które zdają się wietrzyć trop zwierza tylko co przeszłego. Grupę tę jadących i biegnących oświetlają promienie słońca jaskrawo zachodzącego, a że cała scena na pewnem maluje się wyniesieniu, światło więc słoneczne wszystko co zwrócone ku niemu, obrzuca wyrazistym blaskiem, co nie jest bez pewnego efektu. W układzie jeźdźców wiele życia, konie dobrze oddane, psy łaknące gonitwy, tylko brzegi strumienia bliższe widza, zupełnie w wykończeniu opuszczone. Pan Borkowski młody artysta dopiero zawód swój rozpoczynający, pomieścił na wystawie obrazek pod tytułem: Dwie wdowy, w którym talent jest widoczny ale i widoczna potrzeba staranných studjów zarówno w kolorycie jak rysunku. Braki więc pominiemy milczeniem a wspomnimy tylko o zaletach, ujawniających talent młodego artysty.

Otóż widzimy pobłyski jego w twarzach dwóch kobiet mających wdowy przedstawiać, z których bogatsza ujmuje biedniejszą za rękę, bez wyraźnego jednak odznaczenia, czy robi to w celu pociechy czy powitania. Smutek oddany z prawdą, a nawet cios który ich osamotnił nie dawno widać miał miejsce, tak znać tu boleść i pognębienie.

Dwoje również dzieci przypatrujących się ubogiéj, mają jeszcze więcéj w sobie charakteru. Litość dziewczynki prawie ją do łez poruszająca, a spokojniejszy smutek chłopczyka, bardzo tu dobrze zastosowane i naturalne.

Jak na początkującego malarza który zdaje się że pierwszy raz występuje publicznie, jest to wiele, bardzo wiele. Niecierpliwie też wyglądamy innych prac w których mamy niepłonną nadzieję, znalezienia coraz więcéj rozwijającego się postępu.

G.

O ubiorach.

Dziś chcemy podzielić się z naszemi czytelniczkami opisem niektórych jakkolwiek dziwnych, niemniéj jednak prześlicznych toalet balowych, wykończonych w pracowni p. Elizy Hoffmann, a pod firmą Adeli Hoffmann (plac teatralny dom Blanka.)

Pierwsza suknia z „gros grain niebieskiego, nader powłóczysta, miała u dołu spódnicy trzy falbanki. Tiunika u téj sukni została podpięta z tyłu trzema rzędami Na pierwszem podpięciu umieszczono falbanę koronkową „guipure de Venise“ szeroką na 60 centymetrów, falbana ta otaczała suknię do koła; na drugiem podpięciu znajdowały się takież dwie falbany, z tą różnicą iż takowe były szerokie na 40 centymetrów, i dochodziły tylko do boków sukni, tu zakończono je puklami wstążek różowych. Stanik wycięty ubrany był gipiurą, wstążkami. i różami różowemi z białą konwalją. Toaletę zakończał pasek z bogatą kokardą z niebieskich i różowych wstążek. Do głowy przygotowano stosowne kwiaty. Druga suknia z„ poult de soie“ białego, któréj dół ugarnirowano bufami (bouillonnée) tiulowemi na które spadała pyszna falbana koronkowa czarna „Chantilly“ zakończona podwójną ruszą białą, następnie dano drugą taką falbanę tylko węższą: tiunika téj sukni zrobiona była z zielonego tarlatanu w złote grochy, a którą podniesiono bardzo fantazyjnie za pomocą długiéj zielonéj trawy i biało-zielonych róż. Stanik wycięty, stosownie ubrany był koronkami i kwiatami. Trzecia suknia z „gros-grains“ białego, miała dół ubrany również bufami. Do niéj zrobiono dwie tiuniki z których pierwsza była biała strojna w bufy, druga z gros grainu mais podpięta w puff i ubrana liśćmi jesiennemi (feuilles mortes) i kwiatami brązowemi. Stanik wycięty, garnirowany był bogatą brukselską koronką i kwiatami.Czwarta suknia z gros grains różowego miała dół spódnicy przystrojony plisowaną falbaną, na niéj spadała tiunika z gros grains koloru jasno lila, także obszyta falbaną plisowaną i podpięta bukietami róż różowych i gałązkami bzu lila bez liści. Stanik téj sukni był koloru tiuniki, przybrany ciężkiemi koronkami; rękawki całe zrobione były z róż różowych i gałązek bzu, a to w ten sposób że na wierzchu rękawka umieszczono róże, które stopniowo się zmniejszały otaczając cały rękaw, tak iż go wcale nie było widać pośród kwiatów. Suknia ta odznaczała się szczególną nowością pomysłu. Piąta suknia podobna do ostatniéj, różniła się tylko barwą, gdyż spódnica była z poult de soie zielonego prześlicznego koloru, tiunikę zaś z téjże materji koloru lila, i garnirowaną bufami illuzionowemi koloru sukni, podpinały pęki fijołków (violette de Parme) dobieranych do cieniu. Stanik stosownie, przybrany. I tu rękawy zrobione były z samych kwiatów. Do tych dwóch toalet przygotowano bukiecik kwiatów do głowy, które gdzie niegdzie pośród długich loków umieszczono.

Szósta suknia, z gros grains koloru porzeczkowego jasnego, na niéj tiunika z téjże materji koloru stali, którą podniesiono fantazyjnie i ozdobiono falbankami strzępionemi (chicorée) z główką, odznaczoną plisowaniem z materji groseille. Stanik koloru tego co tunika, miał rodzaj baskiny, któréj długie końce stosownie przybrane spadały na tunikę. Bogata kokarda dwóch kolorów i kwiaty tak do głowy jak niemniéj i jednego rękawa w dwóch kolorach, lecz dobierane do cieniu, uzupełniały toaletę.

Siódma suknia z białego poult de soie ozdobiona u dołu bufami illuzionowemi. U téj sukni pierwsza tunika była tarlatanowa biała, przystrojona także bufami i falbaną, druga zaś z poult de soie koloru lila podpięta różami różowemi i wielkiemi bratkami zwanemi „Pensées de St. Hélène. Rękawy zrobione z pęków kwiatów; takież same kwiaty miały służyć do głowy.Ósma suknia tak jak i tamte nader powłóczyste zrobioną była z poult de soie mais, garnirowana u dołu bufami i falbaną gipiurową; pierwsza jéj tunika tarlatanowa mais, strojna bufami i falbanami z téjże koronki tylko węższa, podpiętą została dobieranemi do cieniu kwiatami brązowemi. Druga tiunika cała z gipiury, podpięta różowemi różami, i liśćmi brązowemi.

Oprócz tych sukien widzieliśmy tamże kilka przeznaczonych dla młodych panien. Suknie te ma się rozumieć były tarlatanowe, lecz ich oryginalność mimowoli zwracała uwagę, np. spódnica biała, pierwsza tiunika zielona, druga różowa, stanik tegoż koloru. Druga suknia miała także białą spódnicę, pierwszą tiunikę brązową, drugą mais, każdą z tych tiunik podpięto kwiatami odpowiednich kolorów. Wreszcie całe białe z tiunikami w złote rzuty. Trudno by nam było opisać cały szereg sukien, poprzestaniemy na tych, zwrócimy tylko uwagę że suknie balowe tegoroczne odznaczają się bogactwem i elegancją, a są jednak bez porównania mniéj przeciążone garnirunkami od zeszłorocznych. Właścicielka powyższéj pracowni mając na uwadze różnorodność kolorów tegorocznych sukien balowych, przybiera je zwykle kwiatami dobieranemi do cieniu, aby tym sposobem pogodzić często dwa zupełnie sprzeczne ze sobą kolory.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Stał z kapeluszem w kącie nie zdejmując rękawiczek i jedna myśl mu chodziła tylko po głowie: Gdyby się hrabina też we mnie zakochała!

Do tego jednak nie przyszło, jakkolwiek Porfiry na męża dobrego miał wszelkie żądane kwalifikacje.

Pan Porfiry był też w posiadaniu tajemnicy onego groźnego dnia jutrzejszego, i widząc wchodzącego ze swobodną twarzą jednego z bohaterów, zwrócił na niego całą uwagę swoją, wielbiąc ten spokój jaki w przededniu bitwy zdawał mu się niepojętym.. Nawykły całe wieczory siedzieć przy wiście u Aksakowicza i być łajanym a przyjmować to z uśmiechem wdzięcznym. Porfiry się nudził dobrze, i byłby może zdrzemnął, gdyby dowcipna Lusia nie przysiadła się do niego, usiłując zeń dobyć nieco życia i głosu.

Hrabina podała rękę gościowi i nieznacznie odprowadziła go na stronę.

— Przede mną nie ma sekretu. Greifer paple, wszyscy już wiedzą. będzie wielkie szczęście, rzekła jeśli się policja nie wmięsza.

— Przynajmniéj nie z mojéj winy.

— Tego mi pan mówić nie potrzebujesz — szybko wrzuciła hrabina. Goreję z ciekawości, aby się dowiedzieć od pana co z nim zrobić myślisz.

— Jak to? co zrobić? zapytał Pilawski.

— Juściż go nie zabijesz.

— Przynajmniéj wcale sobie tego nie życzę — rzekł Gabriel.

— Postrzelisz go! Gdzie? jak? Proszę cię.

— Chciałbym tego pełnego nadziei młodzieńca o ile możności całym powrócić społeczeństwu, którego jest ozdobą, uśmiechając się rzekł zagadnięty, ale pani wie przysłowie — chłop strzela, pan Bóg kule nosi. Co więcéj, widziałem setne przykłady pojedynków, w których ci, co zabijali w lot jaskółki, padali ofiarą tych, co wcale strzelać nie umieli.

— Jesteś pan fatalistą? spytała pani Emilja.

— Nie, wierzę w sprawiedliwość tylko, ale w taką, któréj my częstokroć zrozumieć nie możemy. Stanie się, co się ma stać.

— William będzie z panem, proszę oto, rzekła. Weźmie konia i da mi znać, pierwéj, niż ktokolwiek się dowie. Jestem ciekawa, niespokojna, i... no, jestem kobietą, a pana szanuję, mam dla niego przyjaźń gorącą, wierz mi, chociaż bez wzajemności.

— A, pani, jestem okrutnie skrzywdzony — zawołał Pilawski, — ale o przyjaźni i sercu, i szacunku, i uczuciach w ogóle mówić nie umiem. Jeśli pani ich nie czyta ze mnie — nie moja wina.

— A zatem — do jutra, panie Gabrielu! A tym czasem baw się dobrze i wesoło.

Podano herbatę, towarzystwo, mimo wrażenia jakie czynił ów ranek jutrzejszy, gwarzyło ochoczo. Lusia potrafiła nawet Porfirego wciągnąć w rozmowę, opowiadał jej o procesjach w Krakowie i różnych ciekawych uroczystościach kościelnych.

Gdy przyszło do pożegnania wszystkie ręce z uczuciem wyciągnięto ku Pilawskiemu i choć nikt głośno nie ośmielił się nic powiedzieć, znać było, iż mu słano życzenia szczęścia. ściskając serdecznie dłoń, która jutro, miała wyrokować o życiu lub śmierci człowieka.

Nawet Baronowa Ormowska cicha wielbicielka p. Gabriela, podała mu rękę drżącą i szepnęła:

— Niech Bóg szczęści.

Nazajutrz deszczyk pruszył, ktokolwiek sobie przypomni ten rok 1866, będzie też pamiętał i o tych nieustannych słotach, któremi się on w tych stronach odznaczył. Pomimo niepogody William, Pilawski, Major Hotkiewicz, Surwiński wszyscy wstali do dnia, i wybrali się do Muszyny. Mogło się wyjaśnić do dziewiątéj, a bądź co bądź trzeba było znajdować się na stanowisku. Na humor wszakże wpływa deszcz i mgła zawsze niekorzystnie, posępni ruszyli wszyscy.

W tem zajęciu powszechnem losami pojedynku nikt nie uważał, że pani Domska od wczoraj zamówiwszy konie, załatwiwszy rachunki, pożegnawszy się z Jaworkowską, zaraz po wyruszeniu wózków tych panów, wybrała się także w drogę ale w stronę przeciwną, do domu.

Ani ona, ani Elwira najmniejszéj o tem nie uczyniły wzmianki Pilawskiemu, a było to skutkiem umowy między matką i córką tajemnego ich porozumienia z sobą. Pani Domska nalegała na ten wyjazd już od dni kilku. Elwira go chciała odroczyć tylko dla doczekania się wiadomości o pojedynku. matka wreszcie prośbami, zaklęciami, łzami wymogła posłuszeństwo.

Wnosząc z wrażenia jakie na Elwirze uczyniła potwarz przez Greifera rzucona, widziała, że Pilawski nie jest jéj obojętnym, lękała się, aby dłuższy pobyt, może niespodziany jaki obrót i losy téj walki, nie wzmogły tego uczucia i nie wywołały jakich nierozważnych jego objawów, nastawała więc, prosiła, żądała, aby koniecznie dnia tego wyjechały.. Elwira nie śmiała się opierać, najwięcéj ją kosztowało to, że matka prosiłą aby o wyjeździe nie wspomniała nikomu. Po długich z obu stron układach i prośbach, po serdecznych uściskach, matka przyrzekła w nagrodę, iż nigdy i w żadnym razie o panu Stanisławie już, choćby do Berlina przybył zdrów i cały, mowy nie będzie, a za to otrzymała na wyjazd zezwolenie.

— Co on sobie o nas pomyśli? pytała w duchu Elwira. Bóg wie, ale jeśli umie czytać w twarzy i w sercu, to mnie poszuka i znajdzie.

Z trwogą tylko i drżeniem myślała Elwira, iż ten człowiek, którego sobie wystawiała arystokratą rodem i stosunkami, gdy je znajdzie na tem stanowisku, jakie zajmowały, zrazi się, odczaruje i ucieknie. Wyjeżdżając więc już Elwira miała nadzieję, iż matkę skłoni, po wszystkiem co doznały w Krynicy od Jaworkowskiéj i przez fałszywe swe położenie w obec towarzystwa, od którego stronić musiały, do zwinięcia tego nieszczęśliwego handlu, zdjęcia szyldu i usunięcia się jeśli można gdzieś na wieś, dla zatarcia pamięci nawet tego, czem były.

Usprawiedliwi to pragnienie Elwiry każdy znający społeczność naszą. Wiedziała ona, iż stan obecny będzie na przeszkodzie wszelkiemu związkowi, który by jéj z innych względów mógł być pożądanym. Nie szło jéj zresztą o nikogo, tylko o tego Gabriela, pierwszego w życiu spotkanego człowieka, z którym czuła, iż mogła by być szczęśliwą. Gdy się kocha, sofizmata najdziwniejsze zdają się tak logiczne i naturalne! Elwira rozumiała i tłomaczyła sobie przesąd urodzenia i kasty, bo się skutków jego lękała. O ile córka pragnęła zbliżyć upragniony związek i rachowała na Pilawskiego, o tyle matka niewytłumaczonym lękała go się sposobem. Dla czego nie wiedziała sama. Obawiała się rodziny, stosunków, przyszłych w życiu przykrości dla córki, chciała kogoś innego, położeniem skromniejszem, z mniejszym majątkiem, kogoś, coby ofiary nie czynił z siebie. Obiecywała więc sobie, jak tylko do Berlina powrócą, rozerwać Elwirę, wywieść, zająć i dać jéj koniecznie o nim zapomnieć. Córka zaś myślała tylko, jakby mogła namówić matkę do zrzucenia tego jarzma, tych pęt, téj niewoli. Gotowały się obie w milczeniu do zwycięzenia przeszkód.

Powóz już był za Krynicą, gdy o niespodzianym wyjeździe dowiedziała się pobożna prezesowa.

— W téj chwili wyjechały! to nie jest bez znaczenia? O, to nie jest bez wielkiego znaczenia! — zawołała, i co prędzéj pobiegła z nowiną do Ormowskiéj.

Deszcz kropił, chłodny wiaterek dął od Tatrów, wózki jechały do Muszyny, ale tu sekundanci, zszedłszy się pod parasolami na grobelce, zawyrokowali, że na słocie i w błocie strzelać się było niepodobna.

— To bardzo dobrze, dodał Surwiński, ale czekać na pogodę, na ciepło, na suszę, na wszystkie dogodności może potrwać długo. do nieskończoności, tego roku wątpię, żeby się wypogodziło. Austrja może być rozkrajaną jak kawon na kawałki i gdzie my się potem będziemy szukali?

Sekundant Greifera, który występując chciał już pokazać odwagę nieposlednią, aby o niéj i po zgonie jego mówiono, hr. Żelazowski dorzucił:

— Zgadzam się całkowicie ze zdaniem szanownego preopinanta, bo mój klient także nie życzyłby sobie czekać na rozprawę. Ma co być, niech będzie zaraz, co prędzéj to lepiéj. Szop chruścianych podostatkiem się znajdzie w Muszynie, można nająć jedną pod pozorem strzelania do celu.

— I strzelać się po ciemku? czy przy pochodniach? zapytał żartobliwie Hotkiewicz. *S geht nicht.*

— Ei, słuchaj majorze, dorzucił Żelazowski, jakby trochę mniéj pewne były strzały, co to szkodzi — i tak Pilawski strzela djabelsko. Zdajmy trochę na losy.

— A no, jeśli się ci panowie zgodzą strzelać w szopie, pojdziemy do żyda do karczmy i rzecz skończona.

Pilawski pozostał był w domu zajezdnym, oczekując na decyzję, i palił spokojnie cygaro. Greifer w drugim chodził po izbie, jedząc miętowe cukierki. Sekundanci poszli. Słuchaj, panie Stanisławie, odezwał się Żelazowski wchodząc — szczęści ci się, deszcz leje, na podwórzu dziś nic nie podobna urządzić, żeby raz co prędzéj skończyć, mówimy, strzelajcie się w szopie. Trochę będzie ciemno, Pilawski może nie dojrzy i ocalejesz.

— Jak sobie chcecie, co chcecie, gorsze oczekiwanie nadewszystko, rzekł podchodząc Greifer — jam się gotów strzelać i po ciemku.

— Więc jeśli Pilawski się zgodzi?

— Róbcie, co się wam podoba.

— Daj mi cygaro! rzekł Żelazowski i wyszedł. Pilawski był także tego zdania, że lepiéj jest raz skoń-

czyć prędzéj. Sekundanci poszli zamówić szopę. Żyd nie mógł dobrze zrozumieć na co, musiano mu długo tłumaczyć że będą o zakład strzelać do celu. Dla niepoznaki pożyczono tarcicę, zamówiono aby nikt im nie przeszkadzał i obiecano pięć reńskich. Żyd mogący tak korzystnie pustą szopę wynająć zgodził się na wszystko. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego ci panowie z Krynicy tak daleko szukać szopy przyjechali, mogąc ją na miejscu dostać.

Stajnia po zwleczeniu różnych rupieci leżących na drodze, acz ciemna okazała się dosyć dogodną. Była dłuższą niż potrzeba nawet. Żydom aby nie mieli ochoty zaglądać zapowiedziano, że mogą się na kule narazić i plac wkrótce został przygotowany.

Przez dwoje wrót przeciwnych weszli prawie razem Pilawski i Greifer, zdala skłonili się sobie, sekundanci nabijali pistolety, p. Stanisław był blady lecz czuba zacierał do góry raźno i chodził podrygując jakoś, jakby go ta sprawa nic a nic nie obchodziła. Pilawski spokojny stał w kątku zamyślony, odmierzono kroki, usunęli się świadkowie, dano znak. Pistolety się podniosły, oba przeciwnicy szli zwolna, Pilawski nie mierzył jeszcze gdy Greifer gorączkowo pospieszył, wypalił i.. lewa ręka Pilawskiego na wysokości serca została strzaskaną. Gabriel ścisnął pięść tylko, postąpił krok, zmierzył chwilę mimo bólu i w toż samo miejsce trafił Greifera. Potem rzucił pistolet i chwycił się za lewe ramię, z którego krew buchała obficie. Greifer padł i nie mógł się wstrzymać od krzyku boleśnego.

Wszystko to odbyło się tak nadzwyczaj prędko, że świadkowie ledwie na swych miejscach stanęli, już biedz musieli napowrót. Pilawski nie mówiąc słowa wszedł do izby, siadł na ławie i czekał na doktora zamówionego, który miał natychmiast nadjechać. Niespodziewano się wcale aby ich aż dwóch mogli potrzebować, gdyż nikt Greifera o tak trafny strzał nie posądził, Pilawski pomimo otrzymanéj rany jeszcze miał siłę posłać kulę w toż samo miejsce i zgruchotać też rękę przeciwnikowi.

Wypadek pojedynku zmieszał wszystkich, najmniéj może Pilawskiego, który z pomocą Surwińskiego rękę obandażował, aby zbyt wielkiego upływu krwi nie dopuścić. Greifer, który był na śmierć przygotowany, z razu ucieszył się tem, iż na ręce się skończyło, ale całe jego męztwo i moc ducha opuściła go po chwili, ogarnęła trwoga i prawie blizkim był mdłości.

— Strzela to, strzela— rzekł Zelazowski— niech go licho porwie, kiedy już postrzelony miał jeszcze siłę oddać wet za wet, z taką dokładnością, iż może się nie trafiło nikomu podobnych dwóch ran jak te oglądać. Nie mają już sobie nic do wyrzucenia.

Pomimo bólu, Pilawski, około którego na chwilę się znalazł William, aby mu rękę ścisnąć, zapalił cygaro, ani syknął. Doktór nadjechał i ze zdumieniem znalazł obu rannych, spojrzawszy jednak na Pilawskiego zmiarkował, że ten prędzéj poczekać może i pobiegł obandażować Greifera, który mdlał co chwila. Oba mieli kości strzaskane cięższą wszakże była rana Pilawskiego, bo w niéj dwie koście naruszone zostały. Obandażowawszy go na prędce, doktór pobiegł do Gabriela, który cierpiał więcéj a mniéj się skarżył. Anglik natychmiast dosiadł konia i pocwałował do Krynicy. Konie hrabiny stały na wszelki wypadek w gotowości. Ona sama siedziała w oknie, szarpiąc chusteczkę niecierpliwie i nie mogąc słowa wyrzec, tak się czuła niespokojną! Baronowa Ormowska siedziała przy niéj. Panny z Salomeą szeptały w drugim pokoju.

— Nie ma się co obawiać o naszego faworyta— odezwała się Ormowska— strzela doskonale, a Greifer, jak wszyscy utrzymują, wcale nie wprawny. I temu się też nic złego nie stanie, bo Pilawski zacny człowiek.

— Moja droga baronowo— westchnęła hrabina— to jest osobliwsza rzecz, ja siebie poznać nie mogę. Ten pojedynek dopiero napełnił mnie prawdziwym strachem o siebie. Byłam najpewniejszą, że tego Pilawskiego sobie z głowy i serca wybiłam, że Anglika wolę, że... Otóż ci się przyznam, choć mi wstyd, czuję w téj chwili...

Zniżyła głos hrabina.

— Że gdybym go straciła, nie przeżyłabym téj straty.

— Cichoż! cichoż na Boga!— kładnąc palce na ustach i wskazując drugi pokój, w którym były panny, odparła Ormowska— nie mów że tego tak głośno, po cóż wszyscy o tem wiedzieć mają.

Hrabina oczy sobie zakryła chusteczką.

— Zła jestem na siebie, nie mogę tego sobie przebaczyć. Ja, com panowała zawsze nad sercem, proszę cię, a teraz.. Upokarza mnie to. I tak jestem smieszną— dodała— że się boję, boję się...

— Ale o cóż znowu?

— W tych pojedynkach nie wiedzieć komu szczęście służy— westchnęła Palczewska, i załamała ręce. Greifer źle strzela, ale przebiegły i zły, a tamten prawy i szlachetny. Na téj głupiéj ziemi naszéj, moja baronowo, prawie zawsze szczęście służy tym, co go nie są warci. Spuściła oczy.

W téj chwili tentent dał się słyszeć pod oknem, hrabina oczy podniosła, zobaczyła Wiliama, i nie czekając by wszedł do pokoju, gwałtownie otwarła okno i wychyliła się wołając: Co się stało?

Anglik rękę tylko podniósł do góry i wskazał że idzie. W progu obłocony jeszcze się otrzepywał od deszczu, a hrabina stała już nad nim.

— Kto ranny? Greifer, mów, na miłość Boga kto ranny, wszak nie on?

— Obadwa— rzekł Anglik chłodno.

Palczewska uderzyła w ręce, padła na kanapkę, porwała się natychmiast.

— Jakaż rana?

— W rękę, kość strzaskana.

— Ah, mój Boże!— zawołały kobiety. A tuż z drugiego pokoju nadbiegły panny, z garderoby sługi, z ulicy ciekawi i otoczyli kołem Anglika.

— Jakże Greifer mógł go ranić!

— A tego to przyznam się że nierozumiem— począł William powoli. Strzelali się w szopie, bo na deszczu nie było podobna. Greifer wystrzelił pierwszy, trafił w rękę. Pilawski, mimo bólu i krwi, miał dosyć przytomności, żeby wycelować i oddać mu słowo w słowo taką samą ranę w lewą rękę. Pojedynek osobliwy.

— Powinien go był zabić, w pierwszym przystępie gniewu zawołała hrabina — po co takie trutnie żyć mają, żeby poczciwych ludzi czernili i kaleczyli.

Wydawszy się temi wyrazami z sympatją dla Pilawskiego, którą anglik zdawał się obserwować z zajęciem, pani Emilja wybiegła do ludzi, aby natychmiast powóz szedł po chorego. Dla pośpiechu, nie słowierząjąc pannie Salomei, bez parasola wyszła na deszcz i dotarła sama aż do stajni. Wszyscy patrzali na to ze zdumieniem wielkiem. Ormowska nie tyle była zgorszoną, jak raczéj litowała się nad biedną hrabiną. Wróciła ona po chwili zmokła i ze łzami w oczach.

— Panie Williamie— rzekła poufale podając mu rękę— bądź tak dobrym — jedź po niego, pilnuj go. Ja ci go polecam, ja go kocham jak brata..

Na brata-Anglik odpowiedział wejrzeniem pełnem wyrazu, dosyć tęsknem, hrabina nie spostrzegła go nawet. — Daj mi wiedzieć— dorzuciła szybko— daj mi wiedzieć jak tylko przybędzie, ja pójdę do niego, do Greifera niech sobie idzie kto chce.

— Pójdzie Jaworkowska, gdy nie będzie wilgoci— szepnęła Baronowa.

William już siadał do powozu, gdy prezesowa która nie zastała w domu Ormowskiéj a pieczona była nowiną niepodzieloną jeszcze z nikim, wpadła z ogromnym parasolem nie mieszczącym się we drzwi.

— Jest utrapienie— cicho szepnęła Palczewska.

— Przepraszam, dzień dobry— rzekła prędko, byłam pewna, że tu kochaną Baronowę dobrodziejkę znajdę, bo miałam coś do zakomunikowania, bardzo, bardzo ciekawego. Ale niechże odetchnę. Spojrzała po twarzach posępnych i nie domyśliła się nic jeszcze.

— Wszak to, proszę państwa, ta Domska z córunią— rozśmiała się— obrała sobie chwilę właśnie dziś do wyjazdu. Ci panowie na pojedynek, a ona do powozu i fru z Krynicy. Już jej nie ma, dali pan pojechała. Widziałam sama.

— I cóż pani w tem znajduje złego, dziwnego czy nie wiem już jak się mam wyrazić— przerwała gospodyni.

— Jak to? pani ma za rzecz naturalną? Ale to skandaliczne! Toż to jest przyznanie się do tego wyraźne, że one były powodem pojedynku, który choćby się najszczęśliwiéj skończył..

Hrabina westchnęła zniecierpliwiona, odwróciła się i ukradkiem łzę otarła. Hercegowina dopiero postrzegła iż coś się *już* stać musiało.

— Cóż to ja widzę, co widzę? piękne oczki płaczą? czyby już była jaka wiadomość? Czy Greifer zabity, boć przecie grubszy od gwoździa!

— Ah, po Greiferze by podobno nikt nie płakał— zawołała odwracając się hrabina— temu się należała nauka.

— A cóż? cóż się stało!— porwała się prezesowa— już panie wiecie! na miłość Bożą?..

— Pilawski ranny — szepnęła Ormowska— i Greifer ranny. Oba jednakowo.

Prezesowa stanęła osłupiała.

— A te panie sobie pojechały! Ślicznie! A tu się za nie krew leje.

— Ale któż ci powiedział, że za nie?— oburzyła się hrabina.

— Chyba bym oczów i uszów nie miała, żebym sama tego nie postrzegła, kokietowano obu, chcąc mieć do wyboru i na zapas, a skończyło się na ranach. Może śmiertelne i może będzie pogrzeb?— dodała.

Ormowska coś szeptać zaczęła, bo znudzona tą paplaniną gospodyni wybiegła do drugiego pokoju. Prezesowa ścigała ją oczyma.

— Proszę Baronowéj— szepnęła— jak to się hrabina niepotrzebnie kompromituje. No, przede mną to jeszcze nic, to nic, bo ja to przy sobie zatrzymam, lecz gdyby kto inny ją widział, zaraz by się domyślił, że jeden z dwóch ma miejsce w serduszku.. a że tam podobno i angielski turysta siedzi, więc iluż się ich tam zmieścić może?

Ruszyła ramionami.

— Powiem Baronowéj— odezwała się cichutko po chwilce— że teraźniejszych kobiet nie rozumiem. Boć mamy słabości, to pewna, ale trzeba przynajmniéj umieć je jako osłonić, dla oka.. dla oka.

— Moja prezesowo— zamknęła rozmowę staruszka— daj już pokój, nie ma w tem nic tak złego, przecież że się uczciwego i miłego człowieka niewinnie pokrzywdzonego żałuje, w tem grzechu nie widzę. Hrabina ma dobre serce — nic więcéj.

Prezesowa zagryzła usta. Czas jéj już było iść, bo miała z czem. Wątpiła, ażeby o pojedynku już kto wiedział, chciała więc pierwsza tę nowinę zanieść mianowicie duchownym, z powodu, iż pojedynek

każdy ekskomunice podpada. I mimo deszczu pożegnawszy się co prędzéj, wybiegła dzielić się najświeższemi wiadomościami.

Podróż pani Domskiéj i Elwiry aż do Krakowa upłynęła w posępnem milczeniu. Obie nie miały ochoty do rozmowy, rozmyślały co poczną, jak sobie poradzą. Elwirę dręczył ukrywany niepokój o Pilawskiego, i choć wiedziała, że obawy zbytniéj o niego mieć nie była powinna, serce się trwożyło. Nie wiedziała nawet kiedy i jak potrafi otrzymać o nim wiadomość. — Mógłby napisać — mówiła w duchu, ale téj odwagi, tego trochę zuchwalstwa mieć nie będzie.. Przebaczyłabym mu je chętnie! Ta cisza, to milczenie, to oczekiwanie...

Matka właśnie na ciszę, milczenie, brak wiadomości i czas co wspomnienia najgorętsze powoli zaciera, rachowała najwięcéj. Mierząc się oczyma i sercami, jechały tak spiesząc do celu podróży; matka w nadziei, iż ukończona wojna dozwoli wywieść gdzieś Elwirę, Elwira, że potrafi skłonić matkę do zwinięcia zakładu i obrania innego życia, które by ślady pierwszego zatarło. Znajdowały się obie w tym stanie ducha, który nie dozwalał wzajemnie zwierzyć się swych myśli i po raz pierwszy jakimś chłodem wiał między sercami matki i dziecięcia. Podróż wydała się nieznośnie długą. W Krakowie zabawiły dzień jeden, a że jechały bardzo powoli, wiadomość zaś o pojedynku na skrzydłach poczty poprzedziła je na Wawel i już zużytkowaną została w jednym z dzienników, Elwira przerzucając w hotelu gazety, znalazła w jednéj z nich króciuchną wzmiankę, bez wymienienia miejsca i osób, o osobliwszem spotkaniu dwóch młodych ludzi, którzy się postrzelili w tak dziwny sposób itd. Redaktor dodawał ogólne uwagi o szkodliwości pojedynków, o kościelnych przeciw nim dekretach, i o daremnie przelanéj krwi tak dla kraju szacownéj. Artykuł ten właśnie dla tego, iż mówił o dwóch ranionych, nie zdawał się Elwirze stosować do wypadku tego. Była pewną, że Pilawski rannym być nie mógł. Rzuciła dziennik, mówiąc sobie, iż nie w jednéj Krynicy mogli się pojedynkowicze znajdować, ale prędzéj w Iwoniczu, Żegestowie, Szczawnicy itp.

Serce nie drgnęło przeczuciem. Nie wspominała o tem matce, aby nie ściągnąć na siebie burzy, że się zbyt losem Pilawskiego zajmuje.

Troskę o niego zmniejszyła obawa o matkę. Czy to, że wody niewłaściwie były zapisane, czy że pora nie była dobrą, czy że pani Domska nazbyt się niepokoiła przy kuracji — w drodze już uczuła się słabą. Zatrzymała się w Warszawie, aby poradzić doktora, ale ten uznał, że w ogóle wody, które skutkują z razu, wywołują czasem pozorne pogorszenie zdrowia, a późniéj reakcja je przywraca. Domskie z tą pociechą ruszyły do Berlina, ale w drodze matka ciągle czuła się niedobrze, a przybywszy do domu, położyła się w łóżko. Berlin właśnie się wieścią tryumfów ożywiał i rósł już do przyszłéj wielkości, wszystko tu poruszało się, kipiało, żyło, gorączkowało, gdy nasze panie przybyły. Elwira po raz pierwszy, znalazłszy się znowu wśród tego otoczenia, w którem wzrosła, uczuła jakiś wstręt i obrzydzenie do życia, pod którego jarzmo wracała. Zwykle nie wiele się ona zajmowała interesami, lecz mimowolnie przez matkę wiedziała o nich, dla matki się niemi kłopotała, teraz nawał pracy, zachodów i trudności ciążący na pani Domskiéj, wydał się jéj nieznośnym.

Domska była coraz gorzéj. Nazajutrz wezwano zwykłego lekarza, tego, który wody poradził, przyszedł i choć znalazł, że nic nie było groźnego, nagderał wielce. Stary Niemiec był poufałym domu przyjacielem, człowiekiem bardzo zacnym, Geheimrathem i uczonym naturalistą. Miał prawo do klientów swych odzywać się czasem nieco szorstko i prawa tego używał.

— Wody by były pomogły, — rzekł, — ale przy wodach trzeba spokoju, trzeba zapomnienia o świecie, o kłopotach, o domu, jejmość pewnie nadto siedziała myślą w Berlinie, może się jeszcze gryzła czem innem. Cóż dziwnego, że wody nie tak jak powinny skutkowały?

Ale to przejdzie i będzie wszystko dobrze!

Elwirze dom, jéj śliczne pokoiki, ulubiony fortepian, książki, wszystko wydało się jakoś nieznośne, niemiłe, niesmaczne, nie wyjmując Berlina. Nieustanne przychodzenie panien po radę, po pieniądze, nudziło i niecierpliwiło.

W kilka dni po przybyciu, pani Domska wstała wprawdzie, zajęła się swemi interesami, ale wieczorem położyła się znowu i nazajutrz gorzéj uczuła. Posłano po doktora, lekarz przepisał lekarstwo. Elwira nieznacznie wysunęła się za nim, postrzegły chmurkę na jego czole.

— Czy by mamy słabość była groźną? spytała niespokojnie Geheimratha.

— A nie, — rzekł trochę kwaśno lekarz, — groźnego nic nie ma, ale potrzeba spokoju, wypoczynku, pilności.

— Kochany radzco — chwytając go za rękę, cicho szepnęła Elwira — jesteś przyjacielem domu, bądź, że moim sprzymierzeńcem w sprawie, która i zdrowie matce przywrócić może i mnie by uszczęśliwiła. Rzuć przy mnie słowo, że należałoby spocząć, niech ten nieszczęsny magazyn sprzeda. Mamy dla nas bardzo dosyć, ja więcéj nie pragnę, matka odżyje — a ja, ja dopiero żyć zacznę. Geheimrath ruszył ramionami:

— Bardzo chętnie, — rzekł, — poprę myśl pani, chociaż, chociaż przyznam się, że nie godziłoby się korzystnego interesu, w chwili, gdy on się jeszcze jak najpomyślniéj rozwinąć obiecuje, porzucać, to — po polsku.

— Tak, może — szepnęła Elwira, — ale myśmy do tego stworzone nie były.

Roześmiał się stary i po niemiecku klapnął ręką po ramieniu panienkę parę razy.

— Ha! Ha! Szlachecka krew się odzywa! *Ja wohl!* A któż stworzony do tego czy do tamtego, z patentem, w kolebce? Nauczyłyście się panie pożytecznéj pracy, należałoby w niéj wytrwać. No, i grosz z tego piękny płynie.

— Doprawdy, radzca, mamy go dosyć, dosyć, a zdrowie matki więcéj warte.

— *Ja wohl!* — począł radzca — *Ja wohl!* Zdrowie matki rzecz pierwsza, tylko.. Przerwał. — A no, jutro pogadamy. I wyszedł spoglądając na zegarek. Nazajutrz pani Domska była lepiéj. Elwira jeszcze przed przyjęciem Geheimratha rzuciła słówko o tem, że matka potrzebowała spokoju, iż lekarz był tego zdania, iż należałoby pozbyć się interesu i wypocząć. Dla nas, mamy bardzo dosyć — dodała Elwira, — mojem zdaniem można by sprzedać magazyn, osiąść na wsi, a tam powietrze, spokój, życie ciche, wygodne.

— Dziecko moje — odezwała się Domska, — kto lat kilkadziesiąt wrósł już w coś, temu się wyrwać trudno. Uczyniłabym to może dla ciebie, dla siebie nie, bo czuję, że by mi tego brakło, co tobie ciąży.

Córka zaprotestowała gorąco, pani Domska zamilkła. Nadszedł konsyljarz, i rozpytawszy chorą, zadumał się. Elwira poddała mu myśl wczorajszą.

— Tak jest, tak, — potwierdził, — zapewne że oderwanie się od interesów mogłoby dla zdrowia być pomyślnem. Nie przeczę temu, ale w świecie się trafia różnie. Popieram zdanie panny Elwiry, a jednak nie mogę się wstrzymać, bym anegdotki o moim przyjacielu Finanzialracie Werhuber nie przytoczył.

Domska oczy na niego zwróciła.

— Mów twoją anegdotkę, szanowny doktorze, — szepnęła cicho.

— Bardzo prosta, bo prawdziwa. Finanzialrath Werhuber miał lat sześćdziesiąt i pięć wieku, a trzydzieści i pięć służby. Przez ten czas nawykł był tak regularnie chodzić do biura ministerjum swego, trawić w nim godzin kilka, wracać o pewnéj porze do domu, iż to życie stało się dlań drugą naturą. Stary był wszakże zażądał dymisji. Będę sobie odpoczywał — mówił przyjaciołom — będę sobie odpoczywał. Dano mu dymisję, pensję i król w uznaniu zasług przysłał mu order Korony drugiej klassy. Werhuber był szczęśliwy. Do biura pierwszego dnia zerwał się iść o swojéj porze, a przypomniawszy sobie, iż nie jest do tego obowiązanym, rozśmiał się i pozostał w domu. Bawił się patrząc na złote rybki na oknie, na pelargonje w wazonach, czytał Spenerowskę gazetę, ziewał, i jakoś czas przeszedł. Drugiego dnia poszedł na przechadzkę, dzień mu się wydał niesłychanie długi. Nigdy takim nie bywał. Dziwna rzecz, w kancellarji biegły godziny tak żywo, teraz lazły tak zwolna. W tydzień spotkałem Werhubera zmienionego nie dobrze, poradziłem mu podróż, wody, nie chciał słuchać.. Zachodził parę razy do ministerjum, do znajomych, pomagał tam, pytał wtrącał się, wyproszono go. W miesiąc był do niepoznania, a...

Doktór niedokończył jakoś. Domska spojrzała, sposępniała Elwira.

— Człowiek potrzebuje pracy, aby mógł znieść życie, — dodał Geheimrath — a nawyknienie drugą naturą. Elwira znajdowała, że mimo obietnicy lekarz jéj nie dobrze usłużył i trochę się pogniewała na niego. Mama się w téj pracy nie urodziła, nie zrosła — dodała, — los nam ją twardy narzucił, tęsknić tak bardzo nie widzę powodu.

Na tem się skończyło dnia tego. Domska wciąż jeszcze chorą była i chorą.

Elwira oszczędzając jéj troski niepotrzebnéj, pomimo że się nawet leżąc w łóżku, domagała, aby jéj listy przynoszono, postanowiła je zatrzymać, przeglądać i odpisywać jakkolwiek to zajęcie wcale jéj nie smakowało. W dziesięć dni po powrocie, przeglądając stos różnych korespondencji prawie wszystkich tyczących się magazynu, Elwira zdziwiona została listem, na którym postrzegła stępel Krynicy. Pochwyciła go zarumieniona, drżąca. Adres był do matki, poznała na nim rękę Jaworkowskiéj. Nie miała prawa rozpieczętować, ale mogła przynieść go matce osobno i w ten sposób zmusić niejako do podzielenia się wiadomościami, które niechybnie zawierać musiał.

Pobiegła z nim do pani Domskiéj.

— Jest list z Krynicy! zawołała podnosząc go do góry.

— Daj że mi go, daj proszę, żywo zrywając się z posłania odpowiedziała matka, to od Jaworkowskiéj, nie ma pewnie nic, ale miło mi go będzie przeczytać. Spojrzała na córkę drżącą, ale pomimo rozbudzonéj ciekawości list schowała pod poduszkę. Ja to sobie późniéj przeczytam, nic pilnego rzekła.

(d. c. n).

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

— Wielka to uprzejmość, żeś mię pan odwiedzieć pamiętał, rzekła Florcia biorąc robótkę. Rada bardzo jestem że pana widzę.

W miejscu odpowiedzi, Toots odchrząknął, potem westchnął i znowu odchrząknął. Wszelako nie czując się zadowolony żadnym z tych środków zastąpienia mowy, wziął się wreszcie do sapania.

— Wiem ile pan byłeś przyjazny mojemu bratu, odezwała się po chwili Florcia, chcąc go wybawić z kłopotu; wspominał mi nieraz o tem.

— Ach, nie ma o czem nawet i mówić, przerwał uprzejmie Toots. Jak dziś gorąco — dodał — czy uważa to pani?

— Piękną mamy pogodę — odrzekła Florcia.

— Pogoda i ja mamy się jednakowo, zauważył Toots; — nigdy zdrowszym nie byłem jak teraz — dziękuję ślicznie za pamięć.

Po tem dziwnem i całkiem niespodzianem zestawieniu, Toots zapadł w głębokie milczenie.

— Zdaje mi się żeś pan już opuścił dom doktora Blimbera? odrzekła po chwili Florcia, usiłując zawiązać zerwaną nić rozmowy.

— O tak, ma się rozumieć, odpowiedział Toost; poczem zamilkł na jakie pół kwadransa przynajmniéj.

Po tym upływie czasu, nagle jakoś oprzytomniał i rzekł:

— Dobrze. Bardzo dobrze. Polecam się pani pamięci.

— Czy się pan już wybiera? spytała Florcia wstając z krzesła.

— Sam nie wiem doprawdy — może... Ale nie, chyba jeszcze nie — dodał siadając znowu najniespodziewaniéj. W rzeczy samej sądzę — łaskawa pani....

— Niech pan mówi ze mną śmiało, rzekła Florcia ze spokojnym uśmiechem. Radabym słyszeć pana mówiącego o moim bracie.

— Doprawdy? zawołał Toots, — i na twarzy jego zwykle bez wyrazu, odbiło się najżywsze współczucie. O biedny mój Dombeyu. Czyż się kiedy mogłem spodziewać na jaki użytek kupowałem ten czarny garnitur u Burgesse! Krawiec to bardzo modny, proszę pani ale też drogi co się zowie.

To mówiąc, wskazywał swoje ubranie żałobne.

— Biedny — o biedny mój Dombeyu! powtórzył głosem przerywanym od łkania.

— Biedny mój Pawełku! wyszeptała z cicha Florcia.

— W ostatnich czasach, rzekł po chwili Toots Dombey miał w domu doktora przyjaciela do którego bardzo się przywiązał. Pomyślałem że może pani rada będzie zachować go sobie jako pamiątkę. Czy kiedy wspominał brat przed panią o Dyogenesie?

— Ach! ileż razy! zawołała z płaczem Florcia.

Poczciwy Toots widząc Florcię we łzach o mało sam się znowu nie rozpłakał i z trudnością wrócił do słowa.

— Otóż powiem pani — rzekł uspokoiwszy się nieco, że byłbym zapłacił dziesięć szellingów temu coby się podjął ukraść psa tego dla mnie, gdyby mi go dać nie chciano, ale na szczęście w domu Blimbera, radzi jakoś byli pozbyć się jego. Jeśli pani mieć go życzy, jest w powozie przede drzwiami. Przywiozłem go z sobą; nie damski to piesek, co prawda, ale może pani nie będzie na to zważała.

To mówiąc, Toots zaprowadził Florcię do okna i pokazał jéj Dyogenesa, wyglądającego oknem z powozu, który stał przed domem. W rzeczy saméj trudno było znaleść psa mniéj damskiego i salonowego. Postawa nachmurzona z jaką wyczekiwał aby go z więzienia wypuszczono, nic dobrego nie zapowiadała; szczekał i wił się niecierpliwie w powozie, szamocząc się tak rozpaczliwie, że nieraz aż tracił równowagę i spadał z poduszek.

Z tem wszystkiem, ów mrukliwy i brzydki Dyogenes w którego łbie niezgrabnym tkwiło nieustannie że każdy czyhał na jego zgubę, ów zgryźliwy i szpetny Dyogenes, z pozarastałemi sierścią oczami, z ogonem w trąbkę podwiniętym i pyskiem pociesznie zadartym, był Florci droższym nad wszystkie psy z całego świata,jak raz Pewełek prosił był kiedyś aby o nim miano staranie. Podarunek ów tyle był cennym dla niéj i czynił ją tak szczęśliwą, że w uniesieniu wdzięczności chwyciła i ucałowała rękę Tootsa, okrytą w dniu tym pierścionkami. Jakąż była dopiero jéj radość, gdy oswobodzony wreszcie i wydobyty z niemałym trudem z powozu Dyogenes, wpadł z hałasem do pokoju i począł biegać po nad krzesłami, ciągnąc z brzękiem za sobą długi żelazny łańcuch który miał przyczepiony u obróży, zbywając pogardliwem warczeniem zbyt poufałą uprzejmość Tootsa i szczekając zawzięcie na Towlinsona, w którym od razu zdał się odgadnąć owego dotąd niewidzialnego wroga, godzącego wiecznie na jego bezpieczeństwo.

Toots czuł się tak uradowany tem niesłychanem powodzeniem swego podarunku i patrzał z taką rozkoszą na Florcię gładzącą drobną rączką najeżony grzbiet Dyogenesa, który—nawiasem mówiąc od pierwszéj chwili dozwalał jéj téj poufałości, że prawdopodobnie nie prędko byłby potrafił odejść, gdyby mu tego pies nie ułatwił, rzucając się znagła na niego z gniewnem szczekaniem i z wyraźnie złemi zamiarami. Po daremnych usiłowaniach w celu przejednania go, Toots nie wiedząc jak z nim dać sobie rady wyszedł wreszcie, nie widząc innego środka uchronienia drogocennego garnituru wyszłego z pracowni Burgessa i spółki, od grożącego mu niebezpieczeństwa.

Zostawszy sama z Dyogenesem, Florcia nie przestała głaskać go i pieścić najczulej.

— Kochajmy się nawzajem, kochajmy się, mój ty poczciwy biedaku, — mówiła przyciągając go do siebie, a brzydkie i ponure psisko, jakby czując łzę spadającą w téj chwili na jego szorstkie kudły, ocierało głowę o twarz swojéj nowéj pani i zdawało się wierność jéj poprzysięgać.

Tak przynajmniéj zrozumiała Florcia jego pieszczotę i być może iż się w tym razie nie myliła. Sam Dyogenes filozof nie przemawiał jaśniejszemi słowy do Aleksandra Macedońskiego, jak to czynił obecnie jego imiennik przy swem pierwszem poznaniu z Florcią. Od téj chwili poznała że przyjął u niéj służbę z zadowoleniem i że odtąd może liczyć na niego. Skoro spożył smaczny obiad który mu wkrótce podano, zbliżył się do okna przy którem siedziała jego pani i oparłszy przednie łapy na jéj ramionach, polizał twarz jéj i ręce. Potem, popatrzywszy chwilę na nią, ruszając uprzejmie ogonem, położył się przy jéj nogach i niebawem zasnął.

Jakkolwiek imćpanna Zuzanna, osoba wielce wrażliwa i nerwowa uznała zrazu za stosowne okazywać wielki wstręt i obawę ilekroć spojrzała na Dyogenesa, niemniéj jednak umiała ocenić poczciwą pamięć Tootsa i cieszyła się szczerze przyjemnością jaką sprawił Florci. Wkrótce, oswoiła się też coraz bardziéj z przybyszem, a nawet zajęła się sama bardzo gorliwie urządzeniem mu posłania przy drzwiach pokoju jego pani zaraz tego wieczoru. Nie wiadomo jakim sposobem od Dyogenesa i od jego przyjaznego stosunku z Florcią, myśli Zuzi przeszły jakoś do Dombeya, ale kiedy miała już odejść rozebrawszy swą panią rzekła do niéj:

— Czy panienka wie, że nasz pan wyjeżdża jutro rano?

— Już jutro? A dokąd? spytała Florcia zwrócona w inną stronę pokoju.

— Nie wiem tego napewno. To tylko słyszałam że ma z nim jechać ów niezrównany major, co to go tak pani Chick wychwala. Co ona w nim upatrzyła tak osobliwego, tego nie umiem odgadnąć, to wiem tylko, że gdybym miała mieć kiedy stosunki przyjazne z jakim majorem — od czego uchroń mię Boże— tobym przynajmniej nie takiego sobie wybrała co ze wszystkiem podobny do rozzłoszczonego indyka.

Nie zważając na upominania Florci, zachęcającéj ją do większéj pobłażliwości, Zuzia wyrażała się daléj o majorze w sposób wcale niepochlebny, dodając że według tego co pomiędzy służbą mówiono przy kolacyi, pani Chick namówiła brata żeby go wziął z sobą w drogę dla rozrywki.

— To mi dopiero będzie podróż wesoła! zawołała z wyrazem głębokiéj pogardy pokojówka, zakończając swe opowiadanie; jeśli się coś podobnego może nazywać rozrywką, rada bym też wiedzieć czy kto potrafi coś nudniejszego wynaleźć.

— Dobranoc ci Zuziu, rzekła Florcia chcąc raz koniec położyć téj gadaninie.

— Dobranoc mojéj kochanéj panience odpowiedziała pokojówka.

Wyraz współczucia z jakim wyrzekła te słowa, zgładził nieco cierpienie jakie bezwiednie sprawiła przed chwilą swéj pani, potrącając w jéj sercu stronę najboleśniejszą. Ale cierpienie to nie zdradziło się niczem, dopóki mogło mieć świadków, w ogóle bawiem Florcia nie żaliła się nigdy. Gdy została samą, oparła głowę na ręku i przyciskając pierś wezbraną długiem wysileniem, dała wreszcie ujście swéj boleści.

Wszędzie już panowała ciemność i cisza, przerywana tylko posępnym szmerem spadających kropel deszczu: noc to była słotna i ponura. Lekki powiew wiatru obiegał niekiedy milczącą siedzibę, mięszając swą żałośną skargę z szelestem zeschłych gałęzi. Kiedy północ biła na kościelnych zegarach, sierota jeszcze płakała.

Wiekiem Florcia była jeszcze dzieckiem prawie, nie skończyła bowiem lat czternastu; nie byłoby dziwno zatem, aby owa późna godzina spędzona tak samotnie w tym samotnym domu, świeżo nawiedzonym przez ponure widmo śmierci, zbudziła w jéj wyobraźni uczucie trwogi nieokreślonéj. Tak się nie stało jednak; broniło ją od podobnych wrażeń nadto wyłączne zajęcie myśli jednym przedmiotem. Florcia myślała w téj chwili tylko o ojcu, o tym ojcu którego tyle kochała i który tak uporczywie przywiązanie jéj odpychał.

Ani wiatru jęki ponure, ani jednostajny szmer deszczu i smutny drzew szelest, nie zdołały zachwiać siły téj myśli jedynéj, nieodłącznéj u Florci od wspomnień śmierci brata ukochanego. Niestety! od dnia owego, ani razu nie widziała ojca. Cóż za pogarda! jakież zapomnienie!...

Biedna sierota nie omieszkała i tego wieczoru podejść jak zwykle ku drzwiom ojcowskich pokojów. Zeszła ostrożnie po schodach wśród ciemności, blada, z drżącem sercem, z oczami od płaczu zamglonemi, z włosem niedbale spadającym, aby, jak to co noc czyniła, przycisnąć do tych drzwi nieubłagalnych twarz zalaną łzami.

Ale tą razą ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zastała je nieco otwarte, a przez szparę przeciskało się światło z wnętrza. W pierwszéj chwili, Florcia cofnęła się szybko ku schodom, ale zaraz potem, wstrzymała się, niepewna czy ma odejść, czy też wejść do pokoju.

Owe drzwi uchylone czyniły ją nieco odważniejszą. Promień światła wymykający się z nich i padający jasną smugą na kamienną posadzkę, wyglądał jakoś zachęcająco. Florcia wróciła ku drzwiom i mimowoli prawie, ulegając przemocy własnego uczucia i wspomnień wspólnie doznanego ciosu, cała drżąca z rękami przed siebie wyciągniętemi — weszła do ojca.

Przed stołem stojącym na środku pokoju, siedział Dombey zajęty przepatrywaniem jakichś papierów, leżących w części na stole, w części bezładnie porozrzucanych na ziemi. Deszcz chłostał ze smutnym szelestem szyby téj komnaty w któréj tyle razy ejciec przesiadywał z małym Pawełkiem, a od czasu do czasu wiatr się odzywał wtorując ponuro swym jękiem przeciągłym.

Ale żaden z tych odgłosów nie dochodził do uszu Dombeya. Wzrok jego tkwił w papierach przed nim porozkładanych, a myśli którym był oddany, tak zupełnie go owładnęły, że nawet silniejszy o wiele hałas od lekkich kroków jego córki, nie byłby zdołał z nich go przebudzić. Twarz miał jednak ku drzwiom zwróconą. Przy drżącem świetle lampy i w uroczystéj ciszy owéj godziny, twarz ta wydawała się dziwnie znękana i postarzała; posępny jéj wyraz i osamotnienie otaczające ową postać jakby skamieniałą od bólu, przemówiły do Florci głosem dotkliwego wyrzutu i wszelka trwoga odbiegła ją znagła.

— Ojcze! zawołała — o mój drogi ojcze! odezwij się do mnie!

Na dźwięk tego głosu Dombey zadrżał i w jednéj chwili zerwał się z miejsca. Córka stała przed nim z wyrazem prośby gorącéj w oczach, z rękami ku niemu wyciągniętemi, ale on osunął się znowu na krzesło, nie zbliżywszy się do niéj.

— Cóż ci się stało? rzekł chłodno. Po coś tu przyszła? Czyś się czego przelękła w swoim pokoju?

Jeśli się czego w téj chwili lękała Florcia, to tylko twarzy którą przed sobą widziała. Widok téj twarzy ściął jakby lodem miłość którą płonęło serce córki dla ojca, patrzała na niego, nieruchoma, jakby zdrętwiała.

W surowem tem spojrzeniu nie dostrzegała śladu czułości ani nawet politowania. Wyraz tych oczu był wprawdzie teraz odmienny, ale jakże określić jego znaczenie? Florcia nie śmiała nawet zastanawiać się nad tem, jakkolwiek owa zmiana uderzyła ją głęboko; wiedziała tylko, że dawną obojętność zastąpiło u ojca inne względem niéj uczucie i przeświadczenie o tem obrzucało jakby kirem żałoby wszystkie jéj myśli.

Czemże były nowe wrażenia zbudzone w Dombeyu widokiem córki? Czy mu się obecnie wydawała pełną życia i siły współzawodniczką utraconego syna? Czy też może nie mógł zapomnieć, że w sercu owego syna miała nad ojcem pierwszeństwo? Mogłaż gorycz urażonéj dumy zatruwać do tyla wspomnienia, które powinny mu były tem droższą córkę uczynić, że z przykrością patrzał na jéj piękną twarz tchnącą uczuciem, dla tego tylko, że w jéj wyrazie upatrywał myśl o zmarłym bracie?

Jakkolwiek Florcia ani się domyślała wrażeń zbudzonych jéj widokiem w sercu ojca, zaledwie na niego spojrzała utraciła wszelką nadzieję, bo jestże miłość któraby nie odgadła pogardy jaką obudza?

— Pytam cię Floro, czyś się czego nie zlękła? rzekł po chwili Dombey. Cóż ci się stało, żeś tu przyszła?

— Zrobiłam to ojcze...

— Wbrew mojemu życzeniu. Dla czegoś to uczyniła?

Widziała jasno na jego twarzy, że to o co pytał było mu wiadomem. Pochyliła na dół głowę, chowając ja w dłonie i z piersi jéj wybiegł długi wykrzyk boleści. Dźwięk tego wykrzyku miał usłyszeć ów ojciec we własnéj duszy, na tem samem miejscu — ale dopiero po latach kilku. Na teraz, brzmienie owo rozpłynęło się szybko w powietrzu, nic po sobie nie zostawiając i Dombey ani wątpił, że równie łatwo przyjdzie mu o nim zapomnieć. Tak się też stało do czasu, kiedyś jednak chwila owa miała na nowo w duszy jego ożyć.

— Położył rękę jak marmur chłodną na ramieniu córki, dotykając ją zaledwie.

— Widzę że jesteś zmęczona, rzekł odprowadzając ją ku drzwiom. Potrzebujesz spoczynku, — potrzebujemy go tu wszyscy. Idź do siebie Floro. Coś ci się przyśniło.

Mówił prawdę, To co się jéj przyśniło znikło już było — i czuła że znikło bezpowrotnie.

— Postoję tutaj żeby ci poświecić, rzekł Dombey wychodząc za nią do sieni. Całe górne piętro do ciebie teraz należy; możesz się w niem urządzać jak ci się podoba. Dobranoc ci Floro.

— Dobranoc, kochany ojcze, odpowiedziała łkając z twarzą ciągle rękami zakrytą.

Potem odeszła w milczeniu. Raz tylko jeden, idąc po schodach, przystanęła i obejrzała się jeszcze, jakby chciała wrócić ku niemu, ale się na to nie odważyła. Myśl ta przeminęła błyskiem. żadna nadzieja już jéj nie podtrzymała; po chwili Florcia poszła zwolna daléj, a tymczasem ojciec jéj stał w miejscu ze świecą w ręku, zimny i nieporuszony, i tak pozostał aż dopóki czarna suknia jego dziecięcia nie znikła w ciemnościach korytarzy wyższego piętra.

Jakże wyraźną stanie przed nim w przyszłości owa chwila, w tym samym pokoju gdzie dziś smutny szmer deszczu spływającego po szybach i żałosny głos wiatru na dworze, zdaje się zawczasu przynosić zapowiednię tego co kiedyś będzie!

Gdy poraz ostatni przed ową nocą, Dombey przyświecał podobnie Florci, odchodziła niosąc brata na ręku. Przypomnienie to, zamiast zmiękczyć jego serce, zdrętwiło je bardziéj jeszcze: wróciwszy do siebie zamknął się na klucz i niewidziany od nikogo, gorzko opłakiwał utraconego syna.

Florcia tymczasem powróciwszy do swego pokoju, zastała u drzwi Dyogonesa, który radośnie ją powitał.

— Kochaj ty mię chociaż, szepnęła z westchnieniem, głaszcząc psa który łasił się do niéj, kochaj mię przez pamięć dla niego.

Nie potrzeba już było tego względu Dyogenesowi do pokochania Florci, przywiązał się do swéj nowéj pani dla niéj saméj i nie szczędził oznak swych uczuć. Tą razą, tak się okazał uradowany jéj powrotem, że długo biegał wokoło niéj w szalonych podskokach, i nie łatwo dał się uspokoić. Wreszcie położył się na swojem posłaniu przy drzwiach, ale gdy Florcia zasnęła, otworzył je sobie łapami i usadowiwszy się na kanapce w pokoju swéj pani, zasnął z głową ku niej zwróconą.

V.

Wyjazd Waltera.

Drewniany miczman strzegący wnijścia sklepu starego Sola, pozostał całkiem obojętny na wieść o bliskim wyjeździe Waltera, a nawet nie okazał najmniejszego wzruszenia ku schyłkowi ostatniego dnia bytności młodzieńca w izdebce od tyłu. Całkiem zatopiony w swych matematycznych obliczeniach, stał jak zawsze utkwiwszy szklanne oko w lunecie którą trzymał w ręku? Już to w ogóle, zewnętrzne okoliczności nader mało wpływały na jego osobistość; ulegał im o tyle tylko, że w dni wietrzne mundur jego bywał bardziéj zakurzony, i że zbytnie działanie słońca narażało świeżość jego cery, ale z wyjątkiem tego był to miczman wielce zahartowany i na wszystko nieczuły, jedynie zaprzątnięty swemi żeglarskiemi wyrachowaniami i równie mało sobie robiący z wszelkich ziemskich rzeczy, jak niegdyś Archimedes z oblężenia Syrakuzy.

Takiem było przynajmniéj z pozoru, zachowanie się owego jegomości w obecnem położeniu domu w którym przebywał. Napróżno go darzył Walter przychylnem i jakby pożegnalnem spojrzeniem, ilekroć obok niego przechodził, napróżno stary Sol gdy sam zostawał, opierał rękę na jego ramieniu, jakby się chciał z nim podzielić swoją boleścią; — żadne najochydniejsze pogańskie bożyszcze nie okazało się nigdy bardziéj nieczułem na prośby swych czcicieli, jak był ów drewniany miczman w obec tylu dowodów życzliwości.

Już był tedy nadszedł ostatni wieczór pobytu Waltera u wuja. Młodzieniec rozglądał się smutnym wzrokiem po wszystkich kątach swéj sypialnéj izdebki, którą noc poczynała już zaciemniać i myślał że może ostatnią noc w życiu ma tu przespać. Ogołocona z niewielkiéj ilości książek i rycin które ją przedtem przystrajały nieco, wyglądała jakoś pusta i zaniedbana, jakby zawczasu nosiła cechę bliskiego swego osamotnienia.

— Za niewiele już godzin, pomyślał Walter, ubogi ten pokoik pozostanie daleko gdzieś za mną, tak jak gdzieś w dal pierzchły złote sny które w nim przemarzyłem, z dziecinnych lat wychodząc. Tylko że marzenia owe nawiedzać mię jeszcze mogą we śnie i w każdym razie wyłączną własnością moją pozostaną; pokój zaś ten chociażbym go nawet kiedyś znowu zobaczył, nie tym samym już będzie i nosić będzie cechy nowych mieszkańców, z których każdy po swojemu zechce go urządzać i przerabiać.

Wkrótce jednak Walter przypomniawszy sobie, że kapitan Cuttle odszedł żeby nie przeszkadzać ostatniéj jego rozmowie z wujem, że nie należało zostawiać dłużéj starca samego, zeszedł śpiesznie do pokoiku zasklepowego.

— Wujaszku, zawołał wesoło wchodząc, powiedz, co ci mam przysłać z Barbadów?

— Trochę nadziei, kochany Walterze; błogiéj nadziei że się jeszcze zobaczymy na tym świecie. Przysyłaj mi jéj co najwięcéj, mój chłopcze, bo mi ona bardzo potrzebna.

— Bądź pewien kochany wuju, że to uczynię. Mam tego towaru poddostatkiem, nie będę ci go skąpił. W przydatku zaś nie zapomnę dodawać żywe żółwie, wyborne cytryny do ponczu dla kapitana, smażone owoce dla ciebie wujaszku do niedzielnych obiadów, i wszystko to całemi skrzyniami będę przesyłał.... skoro tylko zostanę bogatym.

Stary Sol sprobował się uśmiechnąć, ocierając chustką okulary.

— Ot tak to lubię! kochany mój wujaszku! zawołał raźno Walter. Podtrzymujemy się tak nawzajem, a jutro zato będziemy żwawi i weseli że aż miło będzie patrzeć.

— Drogi mój chłopcze, rzekł starzec, Bóg widzi że uczynię wszystko na co mi sił starczy.

— A starczy ich z pewnością według potrzeby. odrzekł Walter ze swobodnym uśmiechem. Ale czy

pamiętasz wujaszku, dodał, co mię ty ze swéj strony masz przysłać?

Pamiętam, dziecię moje kochane. Będę ci donosił wszystko czego się tylko dowiem o pannie Dombey. Biedna! jakże ciężkiem jest teraz jéj osamotnienie!

— Wuju, rzekł Walter zawahawszy się nieco; mam ci coś jeszcze powiedzieć. Oto dziś właśnie będąc w kantorze, poszedłem na górę do jéj pokojów.

— Doprawdy? zapytał stary podnosząc okulary.

— Tak jest, zrobiłem to; mówił daléj Walter, — nie żeby z nią się zobaczyć, chociaż i to było możebnem, gdyż ojciec jéj wyjechał z Londynu, ale tylko dla przesłania jéj kilku słów pożegnalnych za pośrednictwem Zuzi. Zdawało mi się, że mam pewne prawo do tego, ze względu na okoliczności, które towarzyszyły ostatniemu widzeniu się mojemu z panną Dombey.

— Zapewne mój chłopcze, zapewne; rzekł Salomon jakby się budząc z chwilowéj zadumy.

— Widziałem ją tedy — chcę mówić że widziałem Zuzię — ciągnął daléj młodzieniec, i powiedziałem że odjeżdżam jutro. Dodałem że wuj bardzo się zawsze dopytuje o pannę Dombey, odkąd ją tu kiedyś poznał i że miło by mu było miewać niekiedy o niéj wiadomość, bądź to przez Zuzię, bądź inną jaką drogą, aby mógł mi donosić, że jest zdrową i szczęśliwą. Czy uwierzysz kochany wuju, żem prawie niespał zeszłéj nocy, zabierając się do tego kroku. Kiedym wyszedł z domu, wahałem się jeszcze ale chęć serca mojego przemogła; byłbym się czuł późniéj nadto nieszczęśliwym, gdybym tego nie uczynił.

Głos jego i wyraz twarzy potwierdzały szczerość słów które wymawiał. Po chwili milczenia, rzekł znowu:

— Wuju, jeślibyś ją kiedy zobaczył, — teraz mówię o pannie Dombey, — powiedz ile miałem dla niéj przywiązania, i że tego ostatniego wieczoru mówiłem jeszcze o niéj z tobą niemal z płaczem. Powiedz że z pewnością nie zapomnę nigdy jéj piękności i téj słodyczy i téj dobroci któréjnic nie zdoła dorównać. Niech wie także, bo wszakże nie kobiecie ale małéj dziecinie wziąłem upominek, żem zachował dotąd te trzewiczki które idąc ze mną gubiła tyle razy po drodze, i że je z sobą zabieram jako najdroższą pamiątkę.

Kiedy Walter słów tych domawiał, tłomoczek zawierający ów skarb ukochany wyruszał właśnie na wózku z przed sklepu Salomona, pod opieką tragarza który się podjął dostawić pakunki młodzieńca na wybrzeże, a drewniany miczman przypatrywał się temu odjazdowi nie okazując najmniejszego wzruszenia. Tą razą wszelako mógł się tem tłomaczyć, iż uwaga jego była wyłącznie w inną stronę zwrócona całkiem niespodziewanem zjawiskiem; w tejże saméj bowiem chwili widział na końcu swojéj lunety Florcię nadchodzącą, spiesznie w towarzystwie Zuzi.

Żadne inne wejrzenie oprócz szklannego jego oka nie dostrzegło wejścia obudwu kobiet do sklepu: dostały się podobnież niepostrzeżone, aż do izdebki odtyłu. Walter odwrócony w téj chwili ode drzwi ujrzał znagła ze zdumieniem, Sola podnoszącego się szybko z krzesła i zaraz potem osuwającego się znowu na nie mimowolnie.

— Wuju, na Boga, co ci takiego? zawołał podbiegając z trwogą ku niemu.

— Panna Dombey... wyjąkał z wysileniem stary.

— Co? czy podobna? zawołał Walter zwracając się szybko ku drzwiom. Ależ to prawda! panna Dombey! tutaj...

Prawda ta była tak rzeczywistą, że zanim Walter skończył mówić; już Florcia przebiegłszy koło niego, pochwyciła za wyłogi tabaczkowego fraka Sola i serdecznie poczęła starca całować. Potem, zwracając się ku Walterowi, podała mu rękę z ową życzliwością pełną prostoty, która była jéj właściwą.

— Dowiedziałam się że odjeżdżasz Walterze rzekła.

— Tak jest pani; odpowiedział ze smutkiem, który daremnie usiłował ukryć, wyjeżdżam, i to w daleką bardzo podróż

— Biedny wuj twój, z jakimże żalem musi rozstawać się z tobą! rzekła Florcia, zbliżając się znowu do starca. O prawda, jakiż on smutny! Ale mnie bardzo smutno że odjeżdżasz, koahany Walterze.

— Boże drogi! zawołała Zuzia, jeżeliż tam koniecznie ludzi potrzeba, czyż mało tu mamy takich, których byśmy z uciechą w zamian dali w tym razie? Nie daléj szukając pani Pipchin naprzykład — nie jest że ta osoba stworzona do prowadzenia umiejętnie handlu murzynami, a jeśliby kogo więcéj potrzeba, toż pozostaje nam jeszcze cała rodzina Blimberów!

To rzekłszy, imćpanna Nipper zdjęła kapelusz i ze zwykłą sobie swobodą poczęła rozgaszczać się na dobre w pokoju. Spostrzegłszy niebawem na stoliku przybory do wieczornéj herbaty, zajęła się z własnéj chęci jej przygotowaniem.

Stary Sol tymczasem nie mógł oczu oderwać od Florci, twarz jego wyrażała zdumienie i podziw.

— Jakże ona wyrosła! — mówił. Jaka piękna! a jednak nic niezmieniona, najzupełniéj ta sama co dawniéj,

— Czyż doprawdy? spytała Florcia.

— O tak, tak: — odpowiedział starzec, myśląc w sobie, iż ten sam wyraz tęsknéj zadumy który dziś spostrzegł w pięknych oczach ku niemu zwróconych, uderzył go już był kiedyś w wejrzeniu kilkoletniéj dzieciny.

— Jaka byłam mała wtedy, rzekła z uśmiechem Florcia, czy pamiętasz pan?

— Mógłżebym tego nie pamiętać, droga moja pani, odpowiedział Gills, ja com tyle myślał o pani i tak często o niéj słyszał! Oto właśnie kiedyś tu wchodziła, Walter mówił mi o tobie i zostawiał różne zlecenia...

— Czy tak? dziękuję ci Walterze, rzekła z żywością Florcia. Lękałam się abyś nie odjechał nie pomyślawszy o mnie.

I znowu podała mu drobną rączkę z taką swobodą i szczerością, że mimowolnie zatrzymał ją przez chwil kilka w swoich. Z tem wszystkiem, Walter nie uścisnął teraz téj rączki tak jak byłby to dawniéj uczynił, i dotknięcie jéj nie zbudziło w nim owych marzeń, które tak długo zaludniały natłokiem mglistych widzeń jego wyobraźnią. Anielska niewinność uczucia Florci; otwartość z jaką mu je objawiła, jasne to i przejrzyste jéj wejrzenie, które padając na niego traciło chwilowo zwykły swój wyraz tęschnoty, — wszystko to razem wzięte nie usposabiało Waltera do żadnych urojonych marzeń i nadziei. Widok córki Dombeya przypominał mu raczéj owo śmiertelne łoże przy którem niedawno ją spotkał i tę miłość tak wielką, którą ją ukochało biedne dziecię już nie żyjące; myśl młodziana uniesiona w wyższe krainy ducha wrażeniem tych posępnych wspomnień, bujała tam czysta i spokojna pozostawiając daleko po za sobą dawne marzenia i sny gorączkowe.

— Nie chciałbym pana inaczéj nazywać jak wujem Waltera, rzekła Florcia do Gillsa, ze słodkim uśmiechem, — czy mi to będzie dozwolonem?

— O moja droga pani, proszę cię o to, zawołał wzruszony starzec.

— Mówiąc z Walterem o tobie, zawsześmy cię tak nazywali, mowiła daléj. Jużbym się tego nie potrafiła oduczyć. Tak jest — dodała, rozglądając się w koło siebie, — ten sam to milutki pokoik, który tak dobrze zachowałam w pamięci.

Stary Sol popatrzał na nią, potem na siostrzana, i zatarł ręce w milczeniu. Po chwili przecierając okulary, szepnął półgłosem:

— Co tu czasu! co tu czasu!

Nastało krótkie milczenie, podczas którego słychać tylko było brzęk filiżanek, które Zuzia ustawiała do herbaty.

— Mam coś jeszcze powiedzieć wujaszkowi Waltera, rzekła Florcia dotykając nieśmiało ręki starca aby zwrócić jego uwagę, — tylko nie mogę jakoś się odważyć... Wkrótce znajdzie się on osamotniałym, jeśli tedy zechce mi pozwolić... nie zastąpić mu siostrzeńca, bo wiem że to byłoby niepodobnem.... ale być mu szczerą i serdeczną przyjaciołką i dopomagać mu we wszystkiem o ile tylko potrafię, dopóki Walter nie wróci, wdzięczna za to będę nad wszelki wyraz. Czy otrzymam to o co proszę?

Za całą odpowiedź, Salomon ucałował ręce Florci. Zuzia tymczasem stojąc oparta o poręcz od krzesła, gryzła końce od czepka i wzdychała bardzo mocno, wznosząc oczy do sufitu.

— Wszak wolno mi będzie odwiedzać wuja Waltera ile tylko będę mogła i rozmawiać z nim o jego i o siostrzeńca sprawach? Gdyby zaś Zuzia przyszła kiedy beze mnie, można z nią mówić z całem zaufaniem; musimy obie wiedzieć o wszystkiem, abyśmy wszystkiemu zaradzały o ile zdołamy. I mam tę nadzieję, że nam wuj Waltera w tem trochę dopomoże, abyśmy choć cokolwiek potrafiły pocieszyć.

Wyraz téj słodkiéj twarzy i tych oczu tak wymownych, ów głos tak dźwięczny i lekkie dotknięcie téj drobnéj rączki, — wszystko to w połączeniu z nieśmiałością i z wachaniem się Florci w obec sędziwego starca. sprawiło na tym ostatnim, już z natury wielce czułym, tak silne wrażenie, że przez chwilę nie był w stanie przemówić.

— Walterze, rzekł wreszcie, podziękuj za mnie powiedz ile wdzięczny jestem.

— O nie, przerwała Florcia z łagodnym uśmiechem, nie przemawiaj za niego, Walterze. Ja go wybornie rozumiem, a wszakże nam potrzeba nauczyć się rozmawiać z sobą bez twojéj pomocy.

Wyraz żalu z jakim wymawiała te ostatnie słowa, wzruszył młodzieńca do głębi serca.

— Panno Floro, rzekł usiłując zachować pozorną spokojność na którą umiał się dotąd zdobywać w rozmowach z wujem, nie potrafię i ja znaleźć wyrazów któremibym ci mógł za twą dobroć podziękować. Zresztą, cóż innnego mam do powiedzenia, nad to, że w tym czynie panią poznaję.

Zuzia, która się ciągle bawiła końcami od czepeczka, okazała lekkiem skinieniem głowy, iż przytakiwała temu objawowi uczuć młodzieńca.

— Zanim cię pożegnam Walterze, chcę i tobie coś jeszcze powiedzieć, rzekła Florcia. Ale naprzód poproszę cię, abyś mię nazywał Florcią i nie odzywał się do mnie jak jaki obcy człowiek.

— Jak obcy? o, nie mógłbym tego uczynić, zawołał Walter, bo niepodobna mi uważać panią jako obcą osobę.

(d. c. n.)

POGADANKI NAUKOWE.

DZIEJE WĘGLA

OD

FORMACYI WĘGLOWĖJ AŻ DO NASZYCH CZASÓW.

I.

Dzieje węgla!.... Ach! jakże to będzie suche i nudne! zawoła może która z Czytelniczek przeczytawszy ten tytuł, i rzuci Tygodnik, aby brzydkim węglem białych nie poczernić paluszków. Ale nie gniewaj się właścicielko pięknéj rączki, nie lękaj się bliżéj poznajomić z węglem choćby ze względu na arystokratyczne jego stosunki, wszakże jest on jednego pochodzenia z tak wielce cenionym brzylantem, a my znowu starać się będziem w ten sposób opowiadać jego dzieje, aby was zająć, a może czasem i nauczyć czegoś.

Nie zamierzamy bynajmniéj opisać wyczerpująco historyi węgla, i wszechstronnéj jego działalności odnoszącéj się do wszelkich gałęzi nauk i przemysłu, gdyż w takim razie tomy całe pisaćby trzeba; my zaś, zamykając się w obrębie kilku pogadanek, podamy jedynie wierny szkic jego przejść i zastosowania, od czasów wytworzenia się aż do naszych czasów.

W tym celu musimy odnieść się myślą aż do lasów przedpotopowych.

Rozglądając się w wszechświecie, uwielbiamy wspaniałe wejrzenie jakie ze wszystkich krańców oczom naszym się przedstawia i doskonały porządek panujący na całéj jego powierzchni, — wnosząc z téj zewnętrznéj strony, możnaby mniemać, że od początku świata ziemia nasza taką była jak ją teraz widzimy, — lecz jeśli zbadamy jéj wnętrze, jeśli zapuścimy się w otchłanie kopalni wydrążone przez ludzi, w celu nasycania coraz nowych potrzeb i wymagań, przekonamy się z łatwością: że nie zawsze tak doskonały ład i spokój panował na świecie. Przypatrując się ścianom kopalni złożonym z różnorodnych pokładów, ich uwarstwowaniu i rozmaitym zawartym w nich szczątkom roślinnym i zwierzęcym, jak niemniéj zastanawiając się nad podwyższaniem się temperatury w miarę zapuszczania się w głębie kopalni, każdy myślący człowiek przychodzi do wniosku, iż ziemia nasza musiała przebywać gwałtowne przejścia i wstrząśnienia.

Tak jest, ziemia nasza nie odrazu ukształtowała się jak ją dziś widzimy, a *Kosmografja* czyli teorja powstawania świata, zajmowała od najdawniejszych czasów wszystkie wyższe umysły najróżnorodniejszych narodowości, a im naród który wyższą odznaczał się oświatą, tem też w mytach jego czyli podaniach o początku świata, znajdujemy mniéj dziwacznych wymysłów lub rozmarzonych poetycznych fantazji, a więcéj wzniosłych przypuszczeń, a nawet niekiedy i prawd zgodnych z dzisiejszą nauką.

Jednak ani pomysły najznakomitszych starożytnych filozofów, ani rozbujała wyobraźnia poetów, żadnych uzasadnionych nie wytworzyły teorji, dopiero od bardzo niedawnych czasów gdy dokładniéj zbadano siły działające w przyrodzie a nauki przyrodnicze, w szczególności zaś chemja i fizyka jakoteż i astronomja, stanęły na wysokim stopniu doskonałości, wówczas to dopiero pojawiły się pojęcia, mogące pochlubić się czemś więcéj niż mamiącym blaskiem dowcipnie obmyślonego pomysłu, pojęcia na mocy których możemy odtworzyć sobie przeszłość naszego planety, zgodnie z zasadami rozumu i powagą nauki.

Słynny fizyk i astronom francuzki Laplace (ur. 23 marca 1749 r. † 7 mar. 1827) genialny autor znakomitego dzieła „*Mécanique céleste*" jest twórcą powszechnie dziś przez świat naukowy przyjętéj teorji o powstaniu naszego układu planetarnego, lecz że nie piszemy tu historji kuli ziemskiéj nie będziem więc rozpisywać się o tem obszernie, ale wspomnimy po krótce, aby tylko dać poznać pierwsze powstanie i wytworzenie się węgli kamiennych.

Przed wiekami ziemia nasza była olbrzymią bezgraniczną kulą płynną i rozpaloną, i bardzo a bardzo powoli stygła i gęstniała, aż nareszcie wytworzyła się w około cienka bardzo skorupa otaczająca istny ocean ognia, w głębi którego łączyły się i osiadły najcięższe materje. Skutkiem oziębienia, ciała płynne przechodziły w stan stały, para się zgęszczała i atmosfera gazowa ze wszech stron otoczyła kulę ziemską. W téj atmosferze unosiła się w postaci mgły nieprzejrzystéj cała massa wody powstałéj z pary, i ona to utworzyła dzisiejsze oceany, morza, rzeki i jeziora.

Gdyby wszystko tak pozostało jak przy utworzeniu się pierwszéj skorupy ziemskiéj, to powierzchnia jéj musiałaby być dość gładką, bez wzniesień ani zagłębień, słowem całą stałą skorupę kuli ziemskiéj oblewałoby niezbyt głębokie morze otoczone powietrzem, nigdy jednak ziemia podobnéj nie przedstawiała powierzchni. Kiedy pierwsza jéj skorupa stwardniała i ściągnęła się, zaczęła pękać a utworzonemi tym sposobem szczelinami, pary pod nią istniejące zaczęły gwałtownie wydzierać się na zewnątrz, z wierzchu znowu parta woda, wciskając się i rozszerzając szczeliny, wpadała do rozżarzonego wnętrza wytwarzając zarazem niezliczone massy pary wodnéj, która skutkiem bardzo wysokiéj temperatury nabierała nadzwyczajnéj prężności.

Para ta z nieprzepartą siłą zaczęła cisnąć się rozpierać i podnosić skorupę ziemi, wydymać ją tu i owdzie jak pęcherz, nareszcie buchała z przeraźliwym trzaskiem z rozdartego jéj łona wraz z ognisto-płynną massą wnętrza, rozpościerając się na powierzchni lub też wznosząc po nad otworem, z którego się wydobywała.

Wszystko to zmieniło zupełnie postać ziemi. Z miejsc wywyższonych woda spłynęła do niższych, co pozostało stałe oddzieliło się od płynnego, wytwarzając pierwszy rozleglejszy ląd otoczony wyspami i *powszechnym oceanem*.

Góry tego pierwszego okresu przetwarzania się ziemi nie były zbyt wysokie, ani też morze bardzo głębokie. Miejsca opuszczone od wody zaczęły zwolna pokrywać się roślinami, a nawet równocześnie mogły już i zwierzęta powstawać, zmieniając się nieustannie w miarę wstrząśnień i zmian jakie przebywała ziemia.

Odnieśmy się myślą do tych oddalonych wieków, którym geologja nadała nazwę *okresu węglowego*, i przy pomocy danych naukowych jakoteż żywéj wyobraźni, wystawmy sobie las przedpotopowy.

Jakże dziwnie wspaniały musiał on przedstawiać widok! Ciemne lasy Alpejskie, Czarny las i dziewicze lasy Nowego Świata, niczem są w porównaniu z jego ogromem i wejrzeniem.

Paprocie drzewne roztaczały szeroko swe koronkowe liście i w olbrzymie rozrastając drzewa, ogromem swoim przewyższały inne, szeroki cień rzucając do koła. *Lepidodendrony* dziś nizkie, pełzające widłaki wówczas ogromne tworzyły drzewa, których pnie cylindryczne zwykle rozdwojone na końcu, ogromne wieńczyły liście a na niektórych z nich napotykamy niekiedy jakby ślad owocu podobnego do naszych szyszek sosnowych. *Anullarje* były to nasze trawy kolankowate rosnące na bagnach z tą tylko różnicą, że w okresie węglowym stanowiły one istne drzewa trawiaste, dochodzące do 12 łokci wysokości. *Sigilarje* te olbrzymy okresu węglowego, dochodziły do 50 łokci wysokości, dziś nic podobnego do nich nie napotykamy. Nazwisko ich pochodzi od tego, że liście z kory ich pnia odpadające zostawiały po sobie ślady w kształcie pieczątek. *Kalamity* stanowiły rodzaj naszych tataraków z tą jednak różnicą, że także w olbrzymie wyrastały rośliny.

Obok tych olbrzymów ówczesnego świata, istniało jeszcze mnóstwo pasożytów, które się ich pni czepiały, i jakby nierozłącznym obejmowały uściskiem co wytwarzało niepodobną do przebycia gęstwinę. Okres ten odznacza się szczególnem bogactwem roślinnem; nie było wówczas ani piędzi ziemi nie pokrytéj roślinnością.

Jednak pod wspaniałym drzew tych cieniem nie żyły jeszcze żadne zwierzęta lądowe, i tylko błota obfitowały w podrzędne zwierzątka należące do gromady *mięczaków*; zaczęły także pojawiać się *skorupiaki* i *ryby*. W powietrzu zaczęły ukazywać się owady podobne do naszych ważek, ale żaden ptak nie ożywiał posępnéj ciszy tych bezgranicznych lasów; zwierzęta ssące nie pojawiały się nad brzegami wód, pokłady odpowiadające ówczesnéj epoce zachowały tylko ślady *zwierzokrzewów* i *mięczaków*.

Pomimo jednak bezmiernéj rozległości lasów okresu węglowego i olbrzymiéj wielkości drzew je składających, były one nadzwyczaj ponure i przedstawiały nużącą jednostajność jednakiéj, nieprzerwanéj żadną grą kolorów zieloności, a gałęzie drzew nie wydawały jeszcze owoców, któreby za pokarm służyć mogły. Widać wszechwiedząca Opatrzność nagromadziła te skarby roślinne jako zadatek dobrobytu przyszłych pokoleń, aby zamienione w węgiel kamienny, stanowiły główną podstawę ich rozwoju materjalnego, a szczególniéj przemysłu i handlu. Węgiel zatem stanowi prawdziwy skarb w prastarych czasach w łonie ziemi nagromadzony, z każdym dniem użyteczniejszy, i pomimo wysokiego rozwoju nauk i wynalazków, po dziś dzień rozum ludzki nie umiał nic wymyśleć coby go zastąpić mogło.

Teraz z kolei zobaczmy jakim sposobem rośliny przedpotopowe zamieniły się w węgiel kamienny.

II,

Najpierw powinniśmy usprawiedliwić nazwę *okresu węglowego*, którą geologowie nadali poniżéj opisanéj epoce, i zarazem wykazać, że tak powszechnie dziś używany węgiel kamienny pochodzi z rozkładu wszelkich roślin i drzew, składających lasy przedpotopowe.

Wiadomo że tkanka, organa i soki wszystkich roślin zawierają w sobie węgiel, nie taki jednak jak go używamy na opał, ale w połączeniu, czyli chemicznie mówiąc, skombinowany z małą liczbą innych substancji. Materje te, choć tak nieliczne, połączyły się w tak rozmaitych i odmiennych stosunkach, iż powstały ztąd liczne części składowe roślin. Już to utworzyły *błonnik* tę zasadniczą materję wszelkich tkanek roślinnych, już znowu ciała rozpuszczone w ich soku, substancję kory, drzewo, rdzeń itd. Nie zapominajmy, że węgiel wchodzi wskład prawie wszystkich tych ciał, kombinując się z gazami zwanemi *tlen*, *wodor* i *azot*, już to ze wszystkiemi razem, już z trzema lub dwoma tylko.

Wszystkie te materje stanowią cały szkielet i organa roślin, jeśli teraz przypuścimy, że z jakich bądź przyczyn odłączyły się od węgla, więc ten jako będący w wielkim nadmiarze, nie mając już z czem się połączyć pozostał w łonie ziemi, w stanie w jakim go dziś znajdujemy. Tak więc nie ma wątpliwości, że węgiel kamienny powstał z materji roślinnych,

a głównie z pni drzew, które skutkiem gwałtownych przemian i wstrząśnień, jakie się wówczas na kuli ziemskiéj odbywały, zostały pokryte wysoką warstwą ziemi i pozbawione wpływu powietrza, zwęgliły się zupełnie.

Lecz skąd rośliny przedpotopowe zaczerpnęły i posiadały tak wielką ilość węgla, i jakim sposobem nastąpił ich rozkład? Aby odpowiedzieć na te pytania musimy zastanawiać się nad atmosferą, gruntem i klimatem okresu węglowego.

Najrozleglejsze, najwięcéj wysokopienne tegoczesne lasy, gdyby je na węgle kamienne przemienić, przy jednostajnem rozpostarciu dałyby w przybliżeniu zaledwie warstwę na pół cala grubą, kiedy pokłady przedpotopowe przedstawiają zdumiewające massy węgla, gdyż dochodzą do 40, 42 a nawet do 50 stóp grubości. Trzeba więc wnosić, że ówczesne drzewa i rośliny zawierały w swem organizmie daleko większą ilość węgla, co już sama ich olbrzymia wielkość usprawiedliwia.

Z powodu wzmagającego się ciągle zapotrzebowania węgla, poszukują wszędzie nowych jego pokładów, co dało powód dokładnego zbadania ich na całéj przestrzeni świata. Zauważano tedy że flora okresu węglowego była zupełnie jednakową na wszystkich krańcach świata, i że rośliny których rozwój wymaga dość wysokiego stopnia ciepła, żyły w miejscowościach gdzie dziś zazwyczaj temperatura jest bardzo nizka. To dowodzi nietylko że w okresie węglowym temperatura była bardzo wysoka, ale co ważniejsza, że wszędzie była jednaka.

Gdyby nawet przypuścić, że słońce wydzielało wtedy na ziemię więcéj ciepła niż obecnie, to musiałoby roztaczać go nierówno na rozmaite punkta, jak to i teraz ma miejsce, gdyż względne położenie dwóch planet nic się nie odmieniło — więc tedy źródła tego wysokiego ciepła w saméj kuli ziemskiéj szukać należy...

W owéj epoce zaledwie cienka skorupa ziemna i mineralna otoczyły ziemię, w łonie jéj wrzał jakby rozpalony piec ognisty, który rozgrzewając grunt uzdatniał go do podsycania olbrzymiéj wegetacji: odbywało się tedy na wielką skalę co dziś naśladują w miniaturze, nasi ogrodnicy, ogrzewając sztucznie grunt w którym wzrastają pewne rośliny.

Chcąc objaśnić skąd ówczesne rośliny czerpały przekazany nam węgiel, musimy odwołać się do fizjologii roślinnéj.

Rośliny tak jak i zwierzęta oddychają za pomocą właściwych organów; dla roślin organami temi są liście, które za pośrednictwem niezliczonych usteczek na ich spodniéj stronie się znajdujących, wdychają *kwas węglany* z otaczającego ich powietrza. Jest to ciało gazowe, i jak sama nazwa wskazuje, zawiera w sobie węgiel, pozostaje zaś ze ścisłego połączenia węgla i tlenu, tego gazu niezbędnego do życia. Ten kwas węglany wnika w najgłębsze zakątki liści, przedziera się przez ścianki małych składających je komórek, i rozkłada się pod wpływem światła i ciepła słonecznego: gaz tlenu wyrzucony bywa w powietrze, węgiel zaś, jako ciało stałe, pozostaje w roślinie w któréj stanowi jedną z zasadniczych części.

Dowiedzione jest, że rośliny z okresu węglowego były zbudowane tak jak tegoczesne, oddychały więc tak samo i mechanizm tych funkcji był zupełnie jednaki. Tak więc węgiel swój czerpały z powietrza, w którym jednak stosunkowo musiało być bardzo wiele kwasu węglowego. Już to samo zdaje się przemawiać za tem twierdzeniem geologów, że wówczas prócz kilku owadów nie było żadnych zwierząt oddychających powietrzem, a wiadomo że kwas węglany tak sprzyjający rozwojowi życia roślinnego zabija zwierzęta przez zaduszenie.

Wielu uczonych różne co do téj kwestji stawiali hypotezy, i nic dziwnego, gdyż tam gdzie żadnych nie ma dowodow, muszą uciekać się do mniéj więcéj uzasadnionych wniosków jaki im własny rozum podaje; powszechnie jednak utrzymuje się powyższe twierdzenie geologów, że przedpotopowe rośliny węgiel zaczerpywały z otaczającego ich powietrza.

Nie ma także pewnych danych co do sposobu rozkładu ówczesnych roślin.

W chwili powstania nauki geologji, pokłady węgla kamiennego bardzo jeszcze niedostatecznie były zbadane, i dla tego ich wytworzenie tłomaczono sobie w sposób jaki do naszych przetrwał czasów. Wiadomo że do dziś dnia, wielkie rzeki, a szczególniéj np: amerykańskie, bystrym swym prądem pędzą do morza ogromne ilości drzewa, które osiadając na dnie ulegają rozkładowi i z biegiem lat zamieniają się w węgiel, — mniemano więc że toż samo mogło mieć miejsce w epoce węglowéj, późniejsze jednak badania uczonych dokonywane w kopalniach węgla kamiennego, na nowe wprowadziły tory.

Znakomity naturalista, Adolf Broguiart, badając skamieniałości roślinne w znanych kopalniach *Treuil w Saint-Etienne*, rozpoznał w nich drzewa olbrzymich rozmiarów z rodzaju wyżéj wspomnianych *kalamitów*. Było ich tam przeszło dziesięć doskonale zachowanych, i rzecz ważna, w położeniu prostopadłem. Wyraźnie więc skutkiem osuwania się gruntu zapadały się stopniowo, nie zmieniając położenia w jakim wzrastały. Podobne fakta zaobserwowano także w wielu kopalniach angielskich, a szczególniéj w kotlinach Bristolu Newkastle, gdzie się znajduje mnóstwo tych drzew kopalnych.

Sławny geolog angielski Lyell, robiąc poszukiwania w Anglji, około Wolwerhampton, (1844) odkrył cały las zagrzebany w łonie ziemi;składające go drzewa miały do 3 metrów obwodu i po większéj części zachowały korzenie. Kopiąc głębiéj odkopano znów drugi, a pod nim jeszcze trzeci las zupełnie dwom pierwszym podobny. Następnie poczyniono podobne odkrycia w Szkocji, we Francji na wybrzeżach Bretanji i w Stanach Zjednoczonych.

W ogóle jednak kopalnie węgla nie zawierają drzew wierzchołkowych, wznoszących się po nad sobą, ale tylko pokłady horyzontalne węgla kamiennego, naprzemian z pokładami piaskowca i tak zwanego *szystu* (kamień łupkowy), dającego się rozdzielać jakby kartki książki.

Te piaskowce i szczyty poczerniałe od długiego zetknięcia się z węglem, przedstawiają nadzwyczaj wykończone i dokładne odbicia wszystkich roślin z epoki węglowéj. Najczęściéj każdy łupek szystu odmiennych roślin przedstawia odbicia, jestto jakby olbrzymi zielnik na którego ułożenie w łonie ziemi liczne pracowały wieki, aby przekazać nam podobizny wszystkich zaginionych rodzajów. Podobizny te są tak wierne i doskonałe, iż zbadawszy je p. Broguiart mógł z naukową ścisłością zrobić klassyfikację flory okresu węglowego, oznaczyć dokładnie znamionujące ją cechy, i przyłączyć je do dziś istniejących gatunków.

Porównywając i szykując te tu i owdzie sprawdzone fakta, można było nareszcie wywieść uzasadnione objaśnienia, odnośnie do formacji węglowéj. PP. Eliasz de Beaumont i Adolf Broguiart pierwsi sformułowali teorję najzupełniéj prawdopodobną, przedstawimy ją w krótkości.

Rozważając istnienie kolejnych pokładów uczeni wyprowadzili wniosek, że różnorodne te przekształcenia musiały się odbywać w okresie, w którym ziemia nasza używała względnego spokoju, kiedy grunt zaczynał ustalać się i grubieć. Obszerne i liczne bagniska rozpościerające się po owczesnym świecie zaczęły rzęsisto pokrywać się bujną, bogatą roślinnością. Z upływem czasu w łonie wód nagromadzały się szczątki paproci, widłaków drzewiastych (licopodji) sigilarji i t. d. z których potworzyły się ścisłe i grube pokłady, Często wydarzające się wówczas ulewne deszcze spadając gwałtownie na skały gliniaste, rozkładały je powoli i unosząc szczątki zapełniały osadem ich bagniska na które opadały ich wody.

Te szczątki mineralne nie rozpuszczalne w wodzie i cięższe od niéj,warstwowały się powoli w jednostajne poziome pokłady w łożysku powstałem z cząstek roślinnych, a na tym płodnym gruncie rozwijała się znów nowa, potężna roślinność dająca z kolei początek nowym uwarstwieniom roślinnym, które pokrywając się wkrótce naniesieniami ziemo-gliniastemi wytwarzały kolejne pokłady węgla, szystu i piaskowca.

Gdzie zaś nie mógł się oprzeć wpływowi płynnego rozpalonego jądra wnętrza kuli ziemskiéj zbyt jeszcze cienką skorupą otoczonego, tam słaby grunt rozdzierał się i zapadał porywając z sobą pokrywającą go roślinność. To zapadanie odbywało się stopniowo, i dla tego drzewa mogły zachować swój kierunek prostopadły, a gdy znikły pod wodami, liczne rośliny obejmując je swemi zwojami utrzymywały w pierwotnem położeniu. W taki sposób tłomaczą uczeni obecność i pomieszczenie niektórych roślin i drzew w kopalniach węgla kamiennego.

Następnie ulegając nieprzepartemu wpływowi ogromnego gorąca wrzącego w łonie kuli ziemskiéj, niszczącego działania wód jak niemniéj bezmiernego ciśnienia zwierzchnich uwarstwowań, te massy roślinne zaczęły się rozkładać, a składające je pierwiastki wytwarzały nowe stalsze związki. Tu osadzała się znaczna część węgla, tam znów kombinowała się w odmiennych stosunkach z wodorodem, wytwarzając tym sposobem gaz węglowodorem zwany, naftę i inne t. p. ciała o których późniéj mówić będziemy. Inne pierwiastki także się z sobą łączyły, skąd znów powstawały materje do rozlicznych dziś służące użytków.

Porównywając skład tegoczesnéj atmosfery, z atmosferą epoki węglowéj, wnosić wypada, iż do uskutecznienia wszystkich tych z kolei rozkładów i połączeń, potrzeba było przynajmniéj 500,000 lat, a nawet uczony naturalista niemiecki, Karol Müller, twierdzi, iz upłynęło. . 9,000,000 lat. Że wszystkie te przekształcenia odbywały się nadzwyczaj powoli, to żadnéj nie ulega wątpliwości, ale liczba upłynionych wieków czy tysięcy lat, nigdy podobno inaczéj jak przez przypuszczenie oznaczoną nie będzie.

Oto powszechnie dziś przez naukę przyjęta teorja formacji węglowéj, którą z resztą potwierdza najzupełniéj powstawanie dzisiejszych torfowisk, przy którem tak powtarza się tenże sam wyż opisany szereg fenomenów, jak niemniéj dokładne zbadanie szczątków roślinnych, znajdujących się w kopalniach węgla.

Jakiejż to długiéj pracy, ilu dochodzeń i badań potrzeba było, zanim nareszcie geologowie zdołali utworzyć teorję, która nam dziś tak łatwą i prostą się wydaje. Cześć mężom niezmordowanéj nauki i pracy! Dzięki im pokłady zawarte w łonie ziemi stały się dla nas jakby kartami historji, na których czytać możemy dzieje zamierzchłéj przeszłości, spoczywającéj jakby w grobowem spowiciu, w tych podziemnych archiwach zamkniętych pieczęcią niezliczonych wieków.

(d. c. n).

Opisy do N. 4.

N. 1 — 2. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 3—5. Szlaki do kołnierzyków i rękawków. Koronka irlandzka z mocną nicianą plecionką.

Dla czytelniczek zajmujących się robotą koronki irlandzkiéj, podajemy nowe wzory. Na główną uwagę zasługuje użyta do nich plecioneczka płaska niciana, odznaczająca się trwałością w noszeniu i prostotą od innych ażurowych lub deseniowych tasiemeczek jakie tylokrotnie były podawane w Tygodniku.

N. 3 podaje połowę marynarskiego kołnierzyka w naturalnej wielkości. N. 4 przedstawia szlak do rękawka, na N. 5 podana jest wązka wstawka.



N. 3. Okrycie wyszywane sutaszem (przód) do ryc. 4. Krój N. XII Fig. 44 i45.

N. 6— 7. Haft koronkowy krętą bawełną na batyście. N. 7 podaje sposób haftu.

N. 8. Wyszycie na tiulu. Okazały ten szlak służyć może do batystowéj chusteczki.

N. 9 — 10. Mankiet koronkowy. Wyszycie na tiulu i tasiemeczka koronkowa.

N. 9 przedstawia połowę mankieta N. 10 wskazuje sposób wyszycia na tiulu.

N. 11. Podróżna męzka czapeczka. Krój w dodatku Figura 61. Czwarta część czapeczki wraz z deseniem do wyszycia.

Figura 62 Połowa daszka do czapki. Dogodna podróżna czapeczka, składa się z 4rech jednakowych części, wyszytych kręconym sznurem albo ściegiem łańcuszkowym. Daszek podwójnie przykrajany i podług wzoru przestębnowany, dodaje się zarówno z przodu jak i z tyłu, i może być dowolnie podnoszony lub spuszczany. Między podwójny daszek można dać płótno lub flanelę, ażeby stębnowanie wyraźniéj się odznaczało. Wierzch i podszewka czapki, szyją się osobno, tak jednak, ażeby szwy sobie odpowiadały, a daszki wpuszczają się między te dwie części i dopiero razém stębnują. Czapkę taką można złożyć we czworo i schować do torebki na



N. 5. Okrycie ze szlakiem wyszywanym. Plecy do ryc. 6 Deseń w dodatku Fig. 29. 31 i 66—68.

ten cel przeznaczonéj lub do kieszeni.

N. 12. Kamasz dla dziecka. Krój w dodatku Fig. 56. Chociaż kamasze robione na drutach lub szydełkiem uważane są jako praktyczniejsze, podajemy jednak także wzór i formę kamasza sukiennego, przyozdobionego stembnowanem wyłożeniem w kolorze jaśniejszym i zapinanego na guziki z perłowéj massy. Pod sukno daje się podszewkę płócienną, a strzemiona powinny być z czarnéj skóry.

N. 13 i 14. Kamasz dla dziecka, sięgający za kolano. Robota na drutach. Skrócenia o. oczko, gł. gładkie, o. kr. kręte oczko. Odpowiednio do podanego wzoru, kamasz się zaczyna od góry na 64 o. i obrabia wkoło jak pończochę 26 razy naprzemian 2 o. gł. a 2 kręte. Dla rozszerzenia i nadania formy na kolano, w następnych rzędach przybiera się między oczami gł. 1 o. kr., jak



N. 1. Stanik pod szyję z karoczkiem. Zob. ryc. 2. Krój N. II Fig. 10—16.



N. 2. Karoczek do stanika ryc. 1. Krój N. II F. 15 i 16.



N. 4. Okrycie wyszywane sutaszem (Plecy) do ryc: 3 Krój kapturka N. XII Fig. 44 i 45.

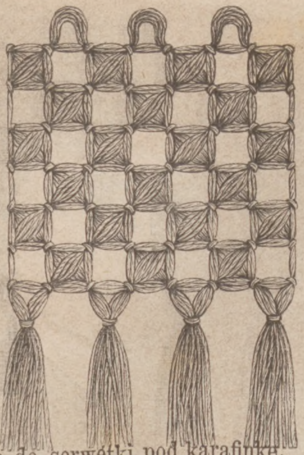


N. 6. Okrycie ze szlakiem wyszywanym. Przód do ryc. 5 Deseń w dodatku Fig. 29—31 i 66—68.

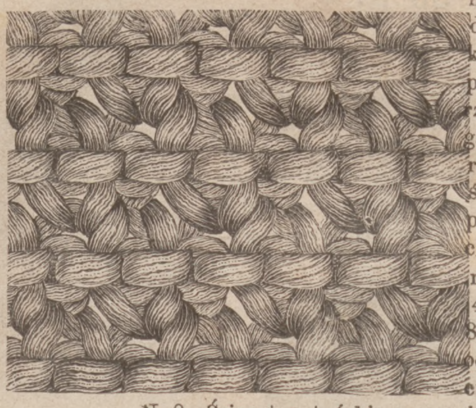
to znać na rysunku. Obrobiwszy w ten sposób 12 razy, następne 24 rzędy robi się nie wkoło lecz tam i napowrót, pozostawiając na końcu każdego rzędu nie dorobione oczy i zaczynając po odwróceniu robotę od oczek coraz dalszych. Tak w pierwszych rzędach tam i napowrót, pozostawia się od końca ocz. 4 a w następnych ciągle po 3 oczka. Po przerobieniu wzmiankowanych 24 razy, pozostaje w środku druta tylko o. 18. Wówczas obrabia się znów wkoło wszystkie o. 8 razy, w dalszych 30 obrobieniach gubi się przybrane poprzednio o. kręte. Deseń zajmujący w 56 obrobieniach sam środek kamasza, którego próbkę podaje N. 14, odrabia się w następny sposób *. Ostatnie z dwóch o. zrobionych gł. przeciąga się przez pierwsze i robi gł. w 2-gie spuszczone przy przeciąganiu przeciąga gł: potem 1 gł. 2 kręte. Drugi raz o. gł. obrobić gładko, a o. kr., kręto. Powtórzyć od *. W 40 niższych rzędach robi się jak od początku 2 o. gł. 2 kr., od 41 zaczyna się przybierać na mały klinik, po skończeniu którego na przednią część kamasza obrabia się tam i napowrót kilkanaście razy zacząwszy od 30 o. i trochę gubiąc ku palcom. Na koniec nabiera się na druty oczy boczne jak w pięcie i obrabia w koło kr. 3 razy.



N. 7. Ścieg tunetański na szaliki, kapturki itd. Wierzchnia strona.



N. 9. Frendzla do serwetki pod karafinkę. Robota w ramach.



N. 8. Ścieg tunetański na szaliki, kapturki itd. Dolna strona.



N. 10. Sukienka dla małego chłopca. Krój N. XIV Fig. 49 i 50.

N. 15. Tło szydełkowe. Do napierśnika dziecinnego w N. 5 Tygodnika pod ryciną N. 15.

N. 16—17. Torebka myśliwska. Robota wiązana.

N. 16 wskazuje skończoną torbę, formy najwięcéj używanéj, robioną z cienkiego, kręconego niewarowego sznurka. Robota wiązana oddawna jest znaną i używaną, nie opisujemy jéj zatem, tylko dołączamy zrozumiałą i dokładną próbkę, pod N. 17. deseniu trochę odmiennego jak na rycinie 16, który nie tylko na torbę myśliwską ale także na serwetę lub zasłonę do okien służyć może. Wówczas jednak w miejsce szpagatu używa się grubych białych nici, a w rogach dodaje się 4, takie same jak na środku, kwadraty.

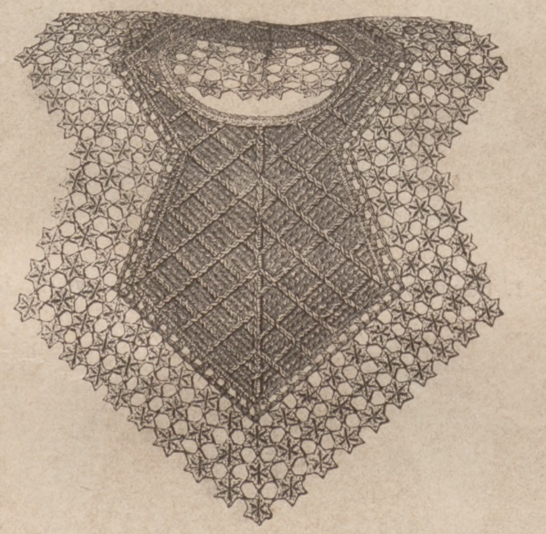
Deseń wyszywa się jak na siatce.

N. 18. Kamasz do polowania. Robota na drutach i szydełkiem.

Kamasze robią się z niefarbowanéj miękkiéj wełny; deseń zwierzchni odrabia się osobno i naszywa na wykończonym kamaszu. Kamasz zaczyna się na grubych drutach na 60 o. i robi wokoło 2 o. kr. 2 gł. 30 razy. W części środkowéj robionéj ciągle gładko co drugie obrobienie każdy drut zaczyna się od o. kręt. przez co odznacza się na kamaszu 4 prążki. Obrobiwszy w ten sposób 5 razy, w 3 następnych przybiera się 1 o., na środku każdego druta dalej po 2 o. na środku każdego druta (w odstępie 6 o.). Dalsze 30 rzędów robi się zupełnie gładko; po nich co 4 obrobienia gubi się 1 o. na środku druta, póki nie pozostanie na każdem drucie tylko o. 14, które obrabia się gładko jeszcze 4 razy. Potem robi się 30 razy 2 o. gł. 2 kr. jak od początku, zakończa łańcuszkiem, przewraca robotę na lewą stronę i na niej wyszywa sznureczkiem, zrobionym szydełkowym łańcuszkiem. Deseń na rycinie 18 wskazany.



Serwetka pod karafinkę. Zobacz N. 9 i 14.



N. 15. Napierśnik szydełkową robotą. Zobacz ryc. 15 w N. 4 Tyg. Mód.

N. 19—21. Sakiewka szydełkowa z kordonku czarnego i kolorowego.

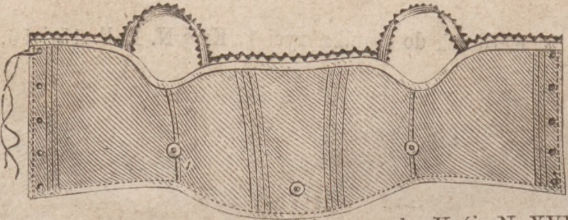
N. 22—28. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 29—32. Modne futrzane ubrania. W obecnéj porze bardzo modne są plisy i oszycia z futra na paletotach i tunikach, odpowiednie do mufki, kołnierzyka i toczka lub berecika. Podajemy tu parę takich gustownych garniturów, odrobionych w odmienny sposób z futra i piór. Wielkość teraźniejszych mufek wynosi 45 cent. obwodu, 20 centy. długości; zwierzchnie pokrycie powinno być krajane na 2 cent. dłużéj, obrąb do nawleczenia na bokach mufki przyszywa się z osobnego materjału.

N. 33—44. Berecik i mufka dla małéj dziewczynki. Odpowiednio do paletota albo całego ubrania N. 33 i 34 podają berecik i mufkę, pokryte ciemno brązowym niestrzyżonym aksamitem, przybrane kokardą i plisami z brązowego aksamitu. Mufka ma 18 cent. długości, 40 cent. obwodu, podszyta jest brązową materją i przybrana brązowym sznurem z obrączką do zsuwania pod szyję.



N. 11. Sukienka dla małéj dziewczynki. Zobacz plecy ryc: 12 i 13. Krój N. XIII Fig. 46 do 48.



N. 16. Gorset dla małych dziewczynek. Krój N. XVI Fig. 54 i 55.

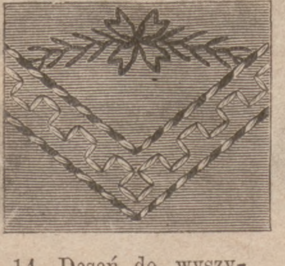


N. 17. Leniuszek dla dziewczynek. Krój N. VIII Fig. 26 i 27.

Opis do N. 5.

N. 1—6. Opisy na dodatku z krojami.

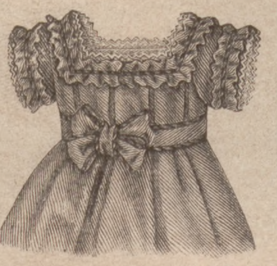
N. 7—8. Ścieg tunetański na kołdry, dywaniki i t. p. Rycina 7 i 8 przedstawiają prawą i lewą stronę zarówno wyrazistą, nowego tunetańskiego ściegu, z bardzo grubéj dywanowej włóczki. Pasy skośne lub kwadraty w dwóch odmiennych kolorach, odrobione tym ściegiem ładnie wydają się na kołdrach, dywanikach pokojowych lub powozowych. Gustownie przedstawiają się podłużne kwadraty 20 cent. długie a 14 szerokie, naprzemian fijołkowe i piaskowego koloru. W każdym rzędzie od ręki prawéj ku lewéj, potrzeba nitkę roboczą dwa razy podług wzoru zarzucić na szydełko, następnie przewłóczy ją się pod luźną nitką i oczka poprzedniego rzędu, nakoniec przerobić obie pentelki 1 o. po. (uważając aby nitka robocza była przed obiema częściami jak to uwidocznia N. 7). Po-



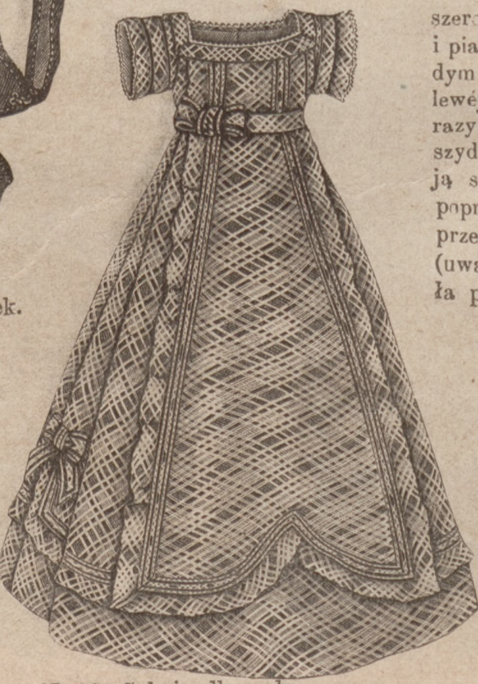
N. 14. Deseń do wyszycia czarnym jedwabiem do serwetki pod karafinkę.



N. 18. Płaszczyk dla małego dziecka na rękach. Krój N. XV. Fig. 51 i 53.



N. 12. Sukienka dla małéj dziewczynki. Plecy do ryc. 11.



N. 19. Suknia dla małego dziecka na rękach. Krój N. XIII F. 46—48.



N. 13. Garnirunek do sukienki ryc. 11 i 12.

wracając od ręki lewéj ku prawéj o. i nitkę przewłóczy się 1 o. pow. i jeszcze 1 o. pow. odrabia.

N. 9. Frendzla robiona w ramach z kręconéj bawełny. Dla czytelniczek zajmujących się robotą w ramach wzór podany pod N. 9 będzie wystarczający, opis ograniczymy tylko w kilku słowach. Nitki oznaczające kwadraciki są wzięte podwójnie, krzyże środkowe wiązane są po 4 nitki. Na frendzlę zostawia się dłuższe pentelki, które się w końcu przecina.

N. 10 — 13. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 14. Haft ściegiem luźnym. Haft ten służyć może jako szlak do różnych robótek ręcznych na rypsie, suknie lub skórze amerykańskiéj. Kolory dobiera się odpowiednio do tła.

N. 15. Napierśnik dla dziecka z bawełny estramadura N. 8. Krój w dodatku Fig. 65.

N. 16. Sznurówka dla dziewczynki. Krój w dodatku Fig. 54 i 55. sznuróweczka z drylichu na podszewce z szyrtyngu z zaszytemi w miejsce fiszbinów sznurkami, nie krępując swobody ruchów, nadaje kształt figurze, a zarazem przyszyte na niéj guziki służą do przypięcia spódniczki. Objwszy brzegi stembnowaną listewką, górny wykrój i ramiączka oszyć można ząbkami z tasiemeczki lub wązką szydełkową koroneczką.

N. 17 i 19 Opisy w dodatku.

N. 18. Płaszczyk z pelerynką i kapturkiem dla dziecka noszonego na ręku. Krój w dodatku Fig. 51—53.

N. 20. Ławeczka do fortepianu przyozdobiona haftem. Ławeczka ta urządzona do składania, ma postument rzeźbiony rokoko, pokrycie siedzenia przyozdobione haftem. Wiele osób grających przekłada podłużne ławeczki nad okrągłe krzesła i taborety. Dzisiejszy wzór podaje pokrycie z pluszu i pasów haftowanych, również możnaby tu zastosować haft na drelichu, którego wzór podaje rycina 33 w dzisiejszym N. Tygodnika.

N. 21 — 22. Woreczek na łyżwy. Pokrycie ze skóry amerykańskiéj lub ceraty, przyozdobione haftem ściegiem przewłóczonym. Woreczek ten nie potrzebuje żadnego urządzenia wewnętrznego i z łatwością da się odszyć podług wzoru.

N. 23 — 24. Szalik przyozdobiony haftem.

Szalik ten z cienkiego kaszmiru 20 cent. szeroki, 120 centy. długi, zakończony sutą jedwabną frendzlą, może być uszyty w każdym ulubionym kolorze i przybrany mniéj lub więcéj bogato. N. 24 podaje w naturalnéj wielkości deseń haftu ozdabiającego końce szalika; na tle pąsowem haft w guście tureckim pąsowy, zielony, niebieski troche lila koloru, dużo żółtego, także biały i czarny mięszany harmonijnie.

N. 25. Chustka do nosa ze szlakiem tiulowym. Deseń rycina 8 w N. 4.

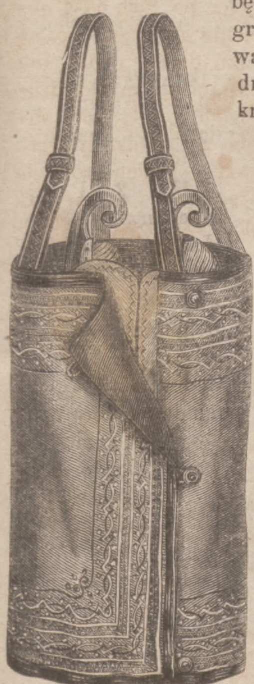
N. 26 — 27. Marynarski kołnierzyk. Krój w dodatku Fig. 57. Kołnierzyk z bardzo cienkiego płótna oszywa się wstawką 1 centy. i nadmarszczoną walansienką 2 centy. szeroką. Z pięknéj rypsowéj wstążki i koronki 5 centy. szerokiéj układa się kokardę do kołnierzyka.

Odpowiedni rękaw na ryc. 24 podany, składa się z prostego płóciennego, koronką oszytego mankieta, za którym idą 2 bufy muślinowe do wązkiego rękawka przyszyte.

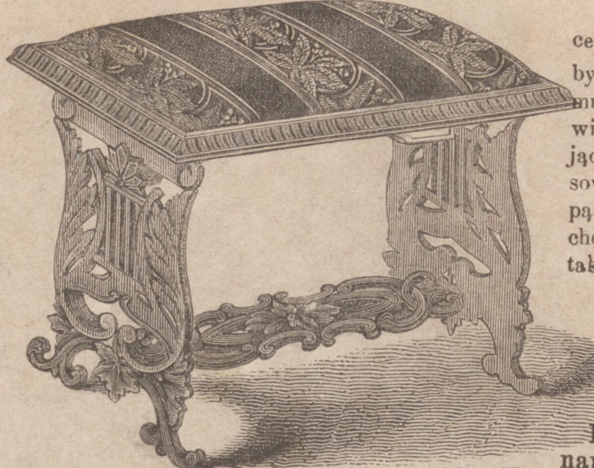
N. 28. Rękawek z koronkowym mankietem. W N. 4. Tygodnika ryc. 9 i 10 wskazują wzór i próbkę roboty na tiulu w rodzaju haftu gipiurowego. Na cienkim tiulu wywodzi się bawełną niekręconą kontury liści i kwiatów, (podług obranego deseniu) które następnie są płaską nicią wycerowane, wycięte i kratką gipiurową połączone, podług formy kołnierzyka lub mankieta. Może niektóre z naszych czytelniczek posiadają jeszcze w zachowaniu, dawne na tiulu grosbotowym lub koronkowym cerowane chusteczki albo woale, te dziś mogłyby być zużytkowane, a deseń z nich wycięty i wskazanym sposobem połączony, utworzyłby różne modne drobnostki przydatne do ubrania. Przy cerowaniu trzeba ciągle zajmować nitkę od wywodzenia, ażeby tym sposobem brzegi umocnić. Przy cerowaniu na nowym tiulu, dogodniéj będzie ukroić tiul i podłożyć deseń podług formy, wycerować, dodać kratki napowietrzne w rodzaju koronkowym lub gipiurowym, a zbywający tiul wyciąć z lewéj strony po wykończeniu.

N. 29. Rękawek do wązkiego z boku roztwartego rękawa. Krój w dodatku Fig. 60.

N. 30. Kołnierzyk marynarski z klapkami. Krój w dodatku Fig. 58 i 59.



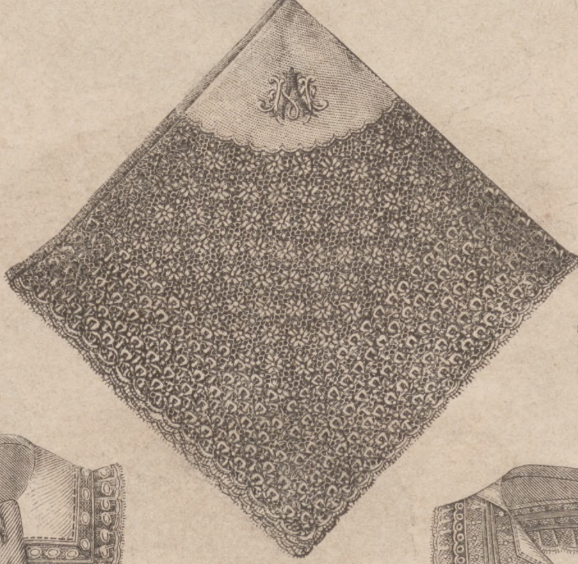
N. 21. Woreczek na trzewiki z łyżwami. Zobacz deseń ryc. 22.

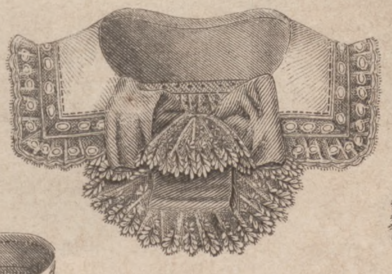


N. 20. Ławeczka do fortepjanu. Zobacz ryc. 33 w N. 5 Tyg. mód.



N. 23. Szalik haftowany. Zobacz ryc. 24.

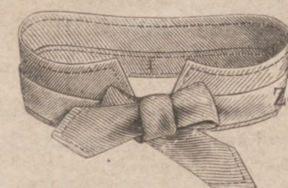




N. 25. Kołnierz marynarski. Zobacz ryc. 26. Krój N. XVIII Fig. 57.



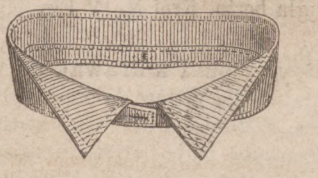
N. 29. Kołnierzyk marynarski z ranwersem. Krój N. XIX Fig. 58 i 59.



N. 31. Kołnierzyk męzki z krawatką do ubrania wizytowego.



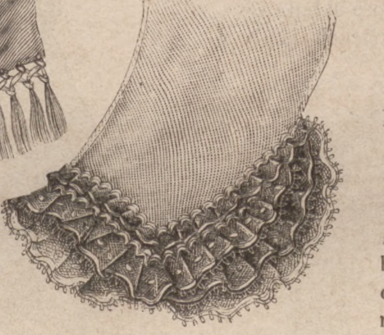
N. 30. Krawatka z koronkowem pokryciem. Zob. ryc. 6 w N. 4 T. Mód.



N. 32. Kołnierzyk męzki do codziennego ubrania. Krój N. XXII Fig. 63 i 64.



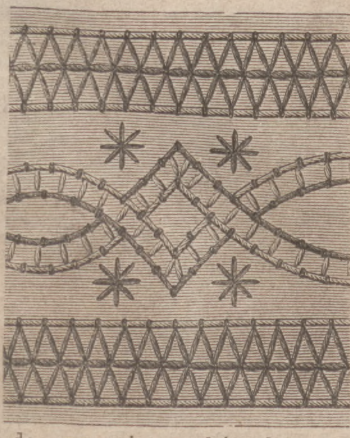
N. 27. Rękawek z tiulowym garnirunkiem.



N. 28. Rękawek do otwieranych z boku rękawów. Krój Fig. 60.



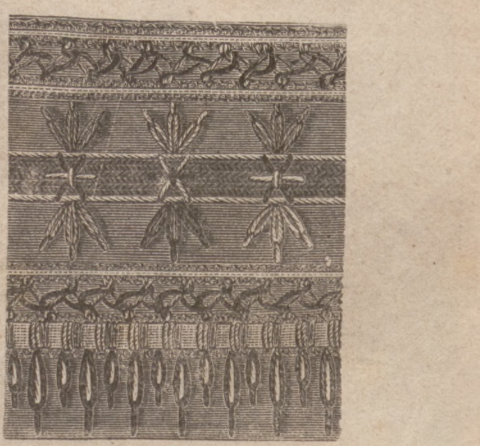
N. 26. Rękawek do kołnierzyka płóciennego ryc. 25.



N. 22. Deseń do wyszycia na skórze lub ceracie do woreczka ryc. 21.



N. 33. Szlak na ławeczkę do fortepjanu, służyć również może do pokrycia krzeseł, poduszek na sofy, dywaniki itd.



N. 24. Deseń na haft do szalika ryc. 23.

Podwójny trójkąt z cienkiego webowego płótna jest zarówno jako i kołnierzyk, 2 razy ostembnowany, następnie oszyty dwoma rzędami wstawki koronkowej nieszerszéj nad 1 c., pomiędzy wstawki wszyte są 3 lub 4, jedna na drugą zachodzące, zakładki z płótna, łącznie nie przenoszące 1 c. szerokości. Wstawki te przyszyte są jak widziemy w ten sposób, iż stanowią powiększenie trójkąta, a brzegi ich od przodu są skośnie ścięte, od tyłu zachodzą pod boczny brzeg kołnierzyka, który tylko przy prostym tylnym brzegu otrzymuje takież same oszycie. Wąziutki haftowany szlaczek i 2 cent. szeroka marszczona koronka przyszyte są z brzegu w ten sposób, iż łączą w jedną całość klapki z kołnierzykiem przyszytym do wązkiéj listewki.

N. 31. Kokarda do kołnierzyka, haft koronkowy na batyście bawełną kręconą. Układ deseniu i próbkę roboty wskazuje ryc. 6 i 7 w N. 4 Tygodnika.





N. 34 i 35. Kostium z garnirunkiem futrzannym. Krój stanika i karoczka N. XI Fig. 38—43.

N. 36. Okrągła berta. Krój N. IV Fig. 19.

N. 41—42 Wachlarze balowe. Oprócz fantazyjnych wachlarzy z piór i koronki, ciągle są bardzo używane wachlarze pół okrągłe, z oprawą konchy perłowéj, kości słoniowej lub drzewa, to dzielą się głównie na dwa rodzaje, to jest: na wachlarze z krótką oprawą, do któréj przytwierdzane jest malowanie na atłasie, odrobione w jednéj sztuce, oraz na wachlarze z długiemi kościanemi lub drewnianemi skrzydełkami, przedzielanemi materją białą lub kolorową.

N. 41. Przedstawia wachlarz z krótką oprawą z konchy perłowéj, wysadzanéj złotem w lekkie arabeski; na białym atłasie stanowiącym sam wachlarz jest kunsztownie odmalowana grupa amorków.

N. 42. Podaje wachlarz ze skrzydełkami długiemi, wyrobionemi à jour z kości słoniowéj, połączonemi paskami atłasu białego, malowanego w gierlandy kolorowych kwiatów, mniéj ozdobne wachlarze tego rodzaju mogą bydź z gładkiéj kości lub drzewa i gładkiéj materji bogatsze z perłowéj konchy wysadzanéj złotem i atłasu haftowanego złotem, lub kolorami.



N. 37. Berta podłużna. Krój N. III. Fig. 17 i 18.

N. 43. Opis na arkuszu z krojami.

N. 32. Kołnierzyk męzki z krawatką. W obecnéj chwili najmodniejsze dla panów do strojnego ubrania są kołnierzyki stojące, z końcami cokolwiek skośnie ściętemi od przodu, i krawatki białe batystowe skośne, mające 8 cent. szerokości a 82 c. długości, które składa się w ten sposób ażeby w środku 1 c. a w końcach miały 4 c. szerokości.

N. 33. Kołnierzyk męzki z wykładanemi rogami. Kołnierzyk taki używany bywa do domowego lub spacerowego ubrania.

N. 34. Szlak do odrobienia na drelichu, do poduszek, krzeseł, serwet lub wałków pod głowę.

N. 35—38. Opisy na arkuszu z krojami.

N. 39 — 40. Berta fałdowana.



N. 38. Berta z szarfą spuszczoną z boku. Plecy do ryc. 39.



N. 39. Berta z szarfą na boku. Przód do ryc. 38.



N. 40 Wachlarz balowy malowany na atłasie.



N. 41. Wachlarz balowy w oprawie z kości słoniowéj.

KORESPONDENCJA.

Pani Ka. i Pani Wań. Ręczna maszyna do szycia „Wanzera“ kosztuje bez opakowania i opłaty pocztowéj rs. 35.



N. 42. Suknia z wyciętym stanikiem. Krój stanika w dodatku N. X Fig. 33—37.